№ 20. Warszawa, dnia 16 (4) Maja 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

J. Brandesa **Główne prądy literatury XIX-go wieku** tomów cztery (uzupełnione) zaprenumerować można po zniżonej tymczasowo cenie rs. 4 (z przesyłką pocztową rs. 4 kop. 50).

SPÓŁKA NAKŁADOWA

ma zaszczyt donieść, że za jej staraniem opuści prasę **w d. 15 czerwca** r. b. dzieło dr. Piotra Chmielowskiego p. t.

Autorki Polskie wieku XIX-go, serya I.

Książka ta, zawierająca około 30 arkuszy druku, ozdobioną będzie portretami autorek, między którymi będą nigdzie dotychczas nieprodukowane.

Cena w **prenumeracie rs. 2** (wraz z przesyłką pocztową) po wyjściu dzieła podniesioną będzie do rs. 2 kop. 50. Adres: **Warszawa, Zielna 7-A.**

Z dużej chmury.

Wojna tedy skończona, a raczej przecięta nawet w dziennikach, nawet na giełdach. Anglia cofnęła wysyłkę okrętów i wojsk, jej gazety urządzają dla swych ministrów sztuczną klakę i piszą o ich tryumfach pochwalne recenzye. Słynne wszakże „Wiele hałasu o nic" nie zakończyło się jak w teatrze: na wniosek Anglii ma być jeszcze sąd polubowny. Kto będzie superarbitrem? To tylko pytanie przeżuwają gazety.

Przed dwoma miesiącami już (nr. 12) uważaliśmy zatarg angielsko-rosyjski za stłumiony. Logicznie z tem przypuszczeniem ostrzegaliśmy stale czytelników przed zbyt pohopną wiarą w możliwość zbrojnego wybuchu, a fakty dowiodły, że nasza krytyka stosunków politycznych, nieuwodząca się groźnymi pozorami, była słuszną. Przepowiedzieliśmy również (nr. 17) „stracony urok" Anglii — a ta dotkliwa strata zaczyna się już teraz uwydatniać w całej pełni. Niema w Europie poważnego i szczerego organu opinii publicznej, któryby nie przyznawał, że nowożytna „królowa wód," bez względu na ostateczny wynik układów, została upokorzoną przez energiczną polityką Rosyi, że nad czołem tej „królowej" zgasł świetlany nimbus strasznej mocy. Jeżeli uprzytomnimy sobie krótką historyę zatargu, dostrzeżemy ze strony angielskiej szereg „żądań" wysłanych pod groźbą wojny z Londynu a niespełnionych wcale w Petersburgu. Słynne, z fałdy wojennej dobyte wymaganie Gladstone'a, ażeby atak gen. Komarowa był zganionym, nie wyżebrało nawet najlżejszego ustępstwa, chociaż — jak sądzono — było ostatniem słowem rządu angielskiego. Łańcuch dotkliwych upokorzeń zamknie się wreszcie ogniwem największej uległości, jeżeli prawdziwą jest wiadomość, że p. Lumsden zostanie odwołany i poniesie na swej głowie grzechy starcia nad Kuszkiem. To jest: Anglia żądała, ażeby generał rosyjski otrzymał naganę i obwiniała go o nieprawdziwość w doniesieniu, a tymczasem udzieliła naganę swojemu przedstawicielowi i uznała, że jego raport był niewiarogodnym. Czego tu żądać więcej?

„Jest to jeszcze wielkie pytanie — mówi jedna z gazet niemieckich — czy większość narodu angielskiego nie woli małe (!) upokorzenie, niż wojnę i spowodowany przez nią zastój w handlu." Zapewne — ale to mniejsze złe przy zręczności ministrów można było kupić taniej — za mniejszą sumę ustępstw i szterlingów. Pierwszych poświęcono więcej, niż potężne państwo pozwolić sobie może, drugich zmarnowano aż 5 milionów. Nigdy chyba nie oświetliła się jaśniej prawda, że ideologowie i teoretycy nie powinni sterować nawą państwową, bo ją wpędzą na skały swoim uporem. Gladstone pięknie gada, umie nawet na przeciwnikach swoich wywrzeć wrażenie w parlamencie, zrobić minę energicznego męża stanu, ale gdy wejdzie na drogę czynu, ledwie jedną nogę wyciągnie z dołu, drugą w inny wpada. Największym, niepowetowanym jego błędem było nieopatrzne stawianie „żądań," których nie umiał, nie chciał, czy nie mógł poprzeć siłą. Minister, który wysypuje z rękawa ultimata i nie osiągnąwszy skutku, cofa je — przegrywa kredyt swój i swego państwa. Przedsiębiorcom cyrków, orkiestr i trup teatralnych wolno dziesięć razy zapowiadać *ostatnie* i *nieodwołalnie ostatnie* przedstawienia, ale nigdy ministrom wielkich mocarstw; nietylko bowiem narażają się na śmieszność, ale podrywają swoją siłę.

Trudno zaś w tym kierunku zajść dalej, jak Gladstone.

Z opadnięciem temperatury dyplomatycznej, uspokoił się najczulszy i najpodstępniejszy nerw świata, zwany jego barometrem — giełda.

W ostatnich tygodniach, przeczuwając bliski koniec burzy, wyprawiła ona sobie prawdziwą orgię. Wzmiankowaliśmy już o „kosztach niepokoju;" gdy obłoki nad tem bagniskiem porozdzierały się, niezależne od niego gazety zaczynają zdradzać tajemnice błędnych ogników i zwodnych rusałek giełdy. „Żywiołem spekulacyi— powiada *Sächs Wochenbl.*—jest niepewność; bez ufności i zawodów, bez nadziei i trosk pułk jej by zginął, a zniżka i zwyżka byłyby możliwe tylko w bardzo ograniczonym zakresie... W obecnym wypadku giełda przekroczyła dozwoloną miarę... Jej tłum nie ma żadnego poważnego zdania o stosunkach i możliwościach politycznych; słucha on — jawnie lub skrycie — haseł wielkich finansistów i natchnień chwilo-

wych, których kierunek właśnie te hasła określają. Za taniec czarownic, który giełda wykonała w ostatnich czasach, przedewszystkiem tedy są odpowiedzialni ci wielcy finansiści... Nie wpływają na nich artykuły dziennikarskie i telegramy, zwłaszcza że wielka — jeśli nie większa część tych artykułów i telegramów ma swoje źródło w ich życzeniach i wskazówkach. Panowie ci wiedzieli bardzo dobrze, że bitwa nad Kuszkiem sama przez się nie może być przyczyną wojny, i że wszystko zależy od układów. Depesza o zwycięstwie gen. Komarowa była wielkim finansistom znana co najmniej na dzień przed ogłoszeniem jej w londyńskim *Standardzie*; mieli więc czas przygotować się i dopiero nazajutrz rozpoczął się popłoch.“ Autor artykułu cyframi ilustruje szalone podskoki i spadki kursów (zwłaszcza wartości rosyjskich) — zmiany, które w biegu wypadków dostatecznego usprawiedliwienia nie miały.

Tu trzeba wszakże przyznać, że koszta tej giełdowej orgii w małej tylko części poniosła Anglia, która w ten sposób odegrała straty na przygotowania wojenne.

Wiosna się kończy a z nią zapewnie pora niepokojów politycznych, które są niejako jej złowrogim kwiatem. W tej chwili w Europie panuje pogoda.

Nowy środek.

Rząd pruski polecił wydalić wszystkich poddanych rosyjskich, zwłaszcza polaków, z Poznańskiego, ze Szlązka, z Prus wschodnich i zachodnich, oraz zabronił im osiedlać się. Ten środek dotknął ludność spokojnie pracującą. Wydalono nawet takich, którzy od 40 lat zamieszkali w państwie, zrujnowano setki rodzin.

W tej sprawie zainterpelowano niemieckiego ministra spraw wewnętrznych Puttkamera, który odpowiedział w sejmie następującym wywodem:

Istotnie, prawa międzynarodowe i krajowe (*Landrecht*) zobowiązują do gościnności, ale państwo musi czuwać nad swojem bezpieczeństwem. W ostatnich latach żywioły obce wzmogły się kosztem niemieckiego. Prawidłowy przyrost ludności w ciągu dziesięciolecia wynosi 10%; otóż od r. 1871 do 1880 niemcy nie dosięgli tej wysokości, a polacy (we wspomnianych prowincyach) ją przekroczyli. Nadgraniczni ziemianie polscy w wygnanych zyskają tanich robotników, którzy odbierają chleb niemieckim. Zresztą ci wygnańcy nie są wcale tak niewinni, jak by się zdawało. Od r. 1846 polska agitacya ciągle się szerzy. Ogółem warstwa napływowa wynosi 30,000, z tych 22,000 wniosło podania o prawo pobytu. Z tymi postąpimy po ludzku, ale usuniemy tych, którzy się wkradli do nas. Wybraliśmy na ten cel wiosnę dlatego, że jest ciepło a zarobek łatwiejszy. Wygnanie w zimie byłoby uciążliwszem.

Ten wywód oklaskiwała — prawica.

Ze strony centrum odpowiedział Windhorst: Istnieje wyższy trybunał, niż mniemania czasowych ministrów — mianowicie moralność publiczna i cywilizacya. Czy zastanowiono się nad tem, że Rosya może zrobić odwet na wielu tysiącach niemców, którzy tam mieszkają? Nadto według naszego przekonania takie wydalanie mas jest przeciwnem prawu międzynarodowemu. Minister powinien przeczytać, co piszą o tem Bluntschli i Heffter. Zresztą, czemu nie wydalamy 2,000 osiadłych w Berlinie paryżan? Dlatego, że pamiętamy o niemcach, którzy mieszkają w Paryżu. Przeciwko zasadom, które minister wygłosił w imieniu rządu, należy zaprotestować w imieniu ludzkości. Takie wypędzanie jest środkiem brutalnym. Gdyby przynajmniej oznaczono termin kilkuletni — ale wyganiać ludzi z domu od pracy — to nie godzi się z cywilizacyą. Gdyby inne narody postąpiły z nami podobnie, wtedy dopiero pojęlibyśmy wartość naszego czynu.

Upomniał się o krzywdę nawet Virchow.

Jest to — rzekł on — poprostu strasznem każdego rosyanina uważać za podejrzanego z tej tylko racyi, że on jest rosyaninem. Przez taką banicyę stosunki robotnicze przy granicy muszą ucierpieć. Nadto w Prusach wschodnich nie pojawiło się nic takiego, coby przypominało kwestyę polską. Wyganiając rosyan, winniśmy być na to przygotowani, że oni pewnego dnia wygonią niemców. Dziś nie potrzebujemy się obawiać takiego odwetu, ale przy wzrastającym ruchu panslawistycznym jest on możliwym.

Zabierali głos inni jeszcze posłowie, ale ostatecznie była to rozprawa czysto akademicka, gdyż na rozkaz ministeryalny nie wpłynęła wcale. Kilka tysięcy ludzi wyrzucono już z Prus, a co my z nimi zrobimy? Otworzymy jeszcze szerzej granicę dla — niemców. A jednak teraz właśnie byłaby pora opuścić stawidło dla fal germańskich i dać stosunkom sąsiedzkim podstawę wzajemności.

NOWE PAŃSTWO.

Świat tedy zyskał jedno więcej królestwo, jedną więcej całostkę polityczną — państwo Kongo w Afryce. Czytelnicy nasi znają krótką jego historyę: korona monarchiczna, po długich targach, zwłokach i rozmyślaniach, spoczęła na głowie Leopolda II, króla belgijskiego, najbardziej zasłużonego w popieraniu kosztownych badań pod kierownictwem Stanleya. Oprócz przeciwnych wpływów zewnętrznych musiał on pokonać pewien i dość uzasadniony opór własnych swoich poddanych, którzy obawiali się kłopotów. Belgia jest krajem neutralnym a skutkiem tego zwolnionym od potrzeby utrzymywania licznej armii; afrykański nabytek zaś, chociaż również zabezpieczony, może ją narazić na zatargi i starcia z mocarstwami dla niej samej groźnemi. Obawy te wyraził w Izbie poseł Neujean, który tak dowodził ziomkom swoim: Według konstytucyi belgijskiej król należy do Belgii. Od tej zasady można odstąpić tylko dla dobra kraju. Król jest przekonany, że ów interes wymaga unii osobistej. Ministeryum twierdzi, że unia ta nie ściągnie na Belgię żadnych ciężarów. Jeśli wszakże zważymy doniosłość przedsięwzięcia i szczupłość środków pomocniczych, uczujemy niepokój. Czyż nie może zdarzyć się, że Belgia musi poprzeć swego króla w sprawie Konga? Rząd pobudza do wychodźtwa, ale nie przedstawił nam jasno warunków życia w nowem państwie. Czy śmiali koloniści belgijscy będą dostatecznie osłonięci, a my, gdy ich spotka nieszczęście, mamy się ograniczyć na posłaniu im kilku łez? Ministrowie nie chcieli kontrolować oświadczeń króla dlatego zapewne, ażeby tem wyraźniej zaznaczyć osobisty charakter unii, Izba też niema swobody zdania. Niepodobna oddzielać Belgii od jej króla. Według Neujeana cała ta sprawa jest niekonstytucyjną.

Chociaż zarzuty jego ministrowie usiło-

---

3)

OGNISKO DOMOWE.

Dom na Mazowieckiej ulicy, jak wogóle wszystkie tam stojące, był cichy i spokojny. Oprócz lekkiego skrzypienia pompy na dziedzińcu, żaden hałas, żadne echo głosów ludzkich aż do drugiego piętra mię nie doleciały. W tej ciszy czułem przyśpieszone bicie mojego serca, w którem bez przestanku kołatała jedna i taż sama myśl: więc ją zobaczysz, wejdziesz dziś do jej domu, otworzą ci się wrota do przybytku szczęścia i miłości.

Ta cisza jednak nie podobała mi się; coś jakby w niej brzmiał głos chłodnej refleksyi. Z moim stanem lepiejby wtedy harmonizowały zgiełk, gwar i niepokój.

Drżącą ręką zadzwoniłem do drzwi, na których mosiężna tabliczka nosiła nazwisko artysty-muzyka.

Zaledwiem poruszył dzwonkiem, drzwi w tej chwili się otworzyły. Odemknęła mi je młoda dziewczyna, nawpół z wiejska ubrana, która, jak mi się wydawało, mogła pełnić obowiązki piastunki a razem i lokaja.

Wszedłem do obszernego i dosyć ciemnego przedpokoju. Zaraz spostrzegłem, że oprócz mnie w drugim końcu przedpokoju jest już ktoś inny, także dopiero co przybyły. Byłto pan domu. Zrzucał ze siebie futro i kalosze, a dużą tekę z nutami położył na stole.

Poznawszy mię, przybiegł, i podając mi obie ręce z wyrazem serdecznej uprzejmości na twarzy, powitał:

— Jakże się cieszę, że widzę pana w naszym domu. Ja właśnie powracam z konserwatoryum.

Widok jego zrobił teraz na mnie inne niż przed dwoma dniami wrażenie. Powszedni jego ubiór nadał mu w moich oczach więcej powagi, niż jej miał w białej krawacie i z szapoklakiem pod pachą, a widoczne na nim ślady niedawnej pracy, które zawsze odbijają się na twarzy człowieka, uczyniły go dla mnie więcej poszanowania godnym niż wtedy, gdym widział, jak się kręcił z miejsca na miejsce i dowcipkował wśród rozbawionych tłumów. Tam, bądź co bądź, zwłaszcza z mojego donżuańskiego stanowiska, wydawał mi się trochę komicznym; tutaj widziałem w nim człowieka poważnego i na swojem miejscu.

Jeszcześmy nie skończyli naszych powitań, gdy drzwi od pokoju się otworzyły i stanęła w nich — ona. Spostrzegłem radość w jej oczach na mój widok, ale uczucie to nie mogło, czy nie miało jeszcze czasu spłoszyć z jej czoła jakiegoś zakłopotania, które w pewnych chwilach sprawia nam choćby najmilszy zjawiający się gość. Może przyszedłem niespodziewany, może nie w porę, może wizytą moją odwołałem ją od niezbędnych domowych zajęć? To wszystko mógł oznaczać ten lekki cień, błąkający się między jej brwiami.

— Bądź tak dobrą, Zosiu — odezwał się mąż — zabawić pana. Ja na chwilę muszę iść do siebie. Bardzo przepraszam — dodał ściskając mię za rękę.

To powiedziawszy, zabrał tekę z nutami i odszedł przez drugie drzwi. My weszliśmy do salonu.

Pani domu ubrana była tego dnia w ciemną suknię, zapiętą pod szyję. Była w tym domowym stroju nie mniej piękną jak

wali odeprzeć, ze słów ich odzywała się ta sama obawa, którą jedna z gazet wyraża tak: „Nie możemy królowi odmówić spełnienia jego życzeń, ale dajemy mu minimum tego, czego pragnie. Upoważniamy go do przyjęcia nowego tytułu, ale zastrzegamy się przeciwko następstwom i nie zobowiązujemy się do niczego. Nie kosztuje to nas nic, a możemy cóś zyskać. Zresztą nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Unia jest tylko osobistą, dotyczy jedynie obecnego króla. Przy jego następcy zobaczymy, czy mamy ją przedłużyć, czy też nie. Ta pewność nam wystarcza.“

Jak widzimy, roztropni belgowie postąpili przezornie: dozwolili królowi włożyć drugą koronę, ale sobie pozostawili furtkę do odwrotu na wypadek, gdyby ich zyskany zaszczyt miał drogo kosztować.

Z FRANCYI.

Paryż, 3 maja.

„Salon“ paryski i sztuka popisowa. — „Artyści niezawiśli“ i anarchiści pędzla. — Przyjęcie Lessepsa do Akademii francuskiej. — Naturalizm na scenie. — A. Gili i Dumont. — Doroczne posiedzenie polskiego Towarzystwa historycznego i odczyt pani S. Duchińskiej w sali Tow. geograficznego.

Rozpoczynając kronikę paryską w pierwszych dniach maja, „wypada“ ją poświęcić „Salonowi,“ którego uroczyste otwarcie przypada na pierwszy dzień tego wiosennego miesiąca kwiatów i woni. Poprzestanę jednak tylko na zaznaczeniu faktu, powtarzającego się co roku z równą jednostajnością jak powrót wiosny. Nie wiem zresztą, dlaczego mielibyśmy się nadmiernie rozczulać wystawą obrazów w Paryżu, gdy mamy swoje „salony“ w Warszawie, Krakowie, Lwowie. Jest to wprawdzie wystawa... w Paryżu—czas byłby już atoli, żebyśmy mniej oglądali się we wszystkiem na nadsekwańską stolicę.

Czem jednak jest „Salon“ paryski? Jest to popis uprzywilejowanych przez specyalne *jury* artystów, po którym z konieczności następować muszą medale i nagrody. We Francyi wszystko oparte jest na owych popisach i medalach. Popisują się przedewszystkiem uczniowie w szkołach niższych i średnich, popisują się uczeni, popisują się wszyscy—jakżeby więc artyści pędzla i dłuta pozbawieni byli tego przywileju. Salon służy właśnie do tego. Podwoje jego otwierają się corocznie dla 2,500 płócien—ni mniej ni więcej, jak w Akademii może zasiadać tylko 40 nieśmiertelnych! Być przyjętym do Salonu jest to już odznaczeniem, ponieważ zaś artyści, którzy otrzymali kiedykolwiek w tym przybytku „list pochwalny“ (*mention honorable*) są doń wpuszczani bez żadnych utrudnień—liczba przeto ubiegających się o zaszczyt przyjęcia bywa często bardzo nieznaczną. W tym roku jest tylko 500 takich płócien; pozostałe są po za konkursem, nie dowodzi to jednak, żeby nie stawały do nagrody. O tych nagrodach inne *jury* rozstrzyga.

Z powodu ograniczonej liczby obrazów, mających wstęp do Salonu, równie jak ze względu koteryjnych zapatrywań, panujących w gronie sędziów, kwalifikujących obrazy do przyjęcia—wielkie między nieuprzywilejowanymi artystami panuje rozgoryczenie. Długi czas znosili oni to panowanie popisowej sztuki z rezygnacyą i poszanowaniem, jakie mają francuzi dla wszelkiego powodzenia. Przebrała się jednak miarka, i od lat kilku, w parę dni po otwarciu Salonu, otwiera się inna wystawa „artystów niezawisłych“ (*independants*). Nastąpi to i w tym roku, dnia 5 b. m. Jest to arena dla początkujących, dla niemających protekcyi w łonie *jury*, dla tych zresztą, którzy torują w sztuce nowe jakieś drogi. Wszelkie innowacye są jak wiadomo, w odwiecznej walce z ustalonymi poglądami. Wystawa „artystów niepodległych“ nie jest jednak ostatnim wyrazem paryskiego radykalizmu w sztuce. Corocznie prawie odbywa się tu wystawa „des artistes incoherants,“ którzy biją czołem przed artystycznym „bezładem“ i uważają się w świecie sztuki za taką skrajną lewicę, jak anarchiści w radykalizmie społeczno-politycznym. Jest to najjaskrawszy protest przeciwko zasadom estetyki, graniczący o jeden włos z śmiesznością, karykaturą lub tylko dziwactwem. Dla pełnego jednak rozwoju objawów życiowych potrzeba całej gamy tonów i półtonów więc „incoherentyzm“ też ma racyę bytu.

Gdyby przywilej uznawania talentów posiadało tylko *jury* Salonu lub panowie udzielający sławną *prix de Rome* nie dalekobyśmy zaszli! Niedawno umarł w Paryżu młody artysta, który wybitne swe stanowisko w malarstwie zawdzięczał głównie temu, że nie dostał owej rzymskiej nagrody. Przed kilku dniami zamknięto wystawę jego obrazów. Mówię tu o Bastien-Lepage'u. Było to chłopskie dziecko, którego talent parł do malarstwa. Ubiegał się w swoim czasie, jak i inni, o „nagrodę rzymską,“ przedewszystkiem dlatego, ażeby odznaczyć się przed rodzicami, którzy dla niego odejmowali sobie od ust kawałek chleba, ażeby im pokazać, że przecież jest coś wart, że czasu napróżno nie stracił, że go oceniają! Nadzieja jednak zawiodła; chłopski syn nie miał protekcyi. Zamiast tedy kopiować w Rzymie antyki i obrazy szkoły włoskiej z czasów Odrodzenia pojechał upokorzony i zmartwiony do rodzinnej wioski, i tu dopiero przekonał się namacalnie, że otaczająca go natura i życie wiejskie mogą mu dostarczyć tematów lepszych niż stary Rzym. Trzeba było tylko chwytać to życie na gorącym uczynku. Tak też i zrobił upośledzony artysta, a rozżalenie przeciwko utartej estetyce było mu potężnym bodźcem. Widoki natury a przedewszystkiem sceny rodzajowe wiejskie, odtworzone z wielką prawdą i traktowane w sposób samodzielny pod względem kolorytu i techniki, zapewniły Bastien-Lepage'owi wybitne miejsce w szeregach młodej szkoły „impresionistów,“ wywodzących się od zmarłego już także Maneta.

Jeżeli współczesny realizm i naturalizm widzi w „impresionizmie“ kierunek pokrewny, to bojujący romantyzm liczył także do swych szermierzy Eugeniusza Delacroix, którego wystawę zamknięto tu również przed kilku dniami. Ciekawem było porównanie dwu tych wystaw—Bastien-Lepage'a i Delacroix. Ten ostatni uważany był w swoim czasie za buntownika, za wyłamującego się z pod akademickich reguł artyzmu, i jako taki gorąco witany przez romantyków. Jakże jednak sztucznym, konwenansowym, wymuskanym wydaje się nam dziś, gdy obrazy jego zestawimy z płótnami młodo zmarłego impresionisty! Zbliżamy się coraz bardziej ku naturalności i prawdzie.

W Akademii francuskiej (krok tylko jeden) odbyło się przed kilku dniami uroczyste przyjęcie nowego członka, głośnego twórcy kanału Suezkiego, Ferdynanda Lessepsa. Przyjęcie odbyło się oczywiście z całem zachowaniem uświęconego oddawna ceremoniału. Lesseps chwalił poprzednika swego, historyka Henryka Martina, Renan zaś chwalił Lessepsa... Posłuchajmy nieco tych przemówień.

Lesseps mówił:... „Nieco wyobraźni jest dobrą dźwignią dla ciężkiego wytworu mozolnej pracy człowieka. Im cel jest dalszym, tem wyżej mierzyć należy. Dobrze jest, jeżeli rzeźbiarz szuka góry dla

---

wtedy, gdy ją widziałem w koronkach, gazach i jedwabiach; miała, choć nie tak wesoły, równie słodki uśmiech na ustach—ja jednak czułem, że nerwy moje nie drgają teraz przy niej tą zmysłową gorączką, jakiej doświadczałem wtedy, gdy melodye Fausta rozmarzały mój umysł, albo gdy atmosfera balowa swym gwarem, kinkietowem światłem, blaskiem obnażonych ramion i namiętną muzyką walca oszołamiała moje zmysły. Zobaczywszy się sam na sam z nią, bez tego tła sztucznych dekoracyj, na jakiem ją dotąd widywałem, w codziennem domowem życiu, uczułem się dziwnie wobec niej onieśmielony. Wszystkie moje gorące słowa, śmiałe i wiele mówiące spojrzenia, ryzykowne oświadczyny i wynurzania, któremi niedawno tak szczodrze szafowałem, wydały mi się na raz zuchwalstwem i szaleństwem, jakiego tylko w malignie dopuścić się można.

Zdaje mi się, że i ona musiała doświadczać podobnych uczuć, gdy szła przedemną, milcząc, po cichym dywanie salonu.

Usiedliśmy naprzeciw siebie. W tej chwili spostrzegłem, że nie jesteśmy zupełnie sami. Równocześnie prawie z nami weszło do pokoju innemi drzwiami dwoje dzieci, dziewczynka może sześcioletnia i młodszy od niej chłopczyk. Dla dzieci niema nic ciekawszego nad gości. Wsunęły się do pokoju cicho, nieznacznie, dygnęły mi z zachwycającą niezgrabnością, i oparłszy się piersiami o taboret przed fortepianem, utkwiły we mnie szeroko rozwarte, nieruchome, ciekawe oczy. Oboje były podobne do matki.

— To moje malcy — rzekła pani Zofia wskazując na nich ręką, tym razem z uśmiechem innym, z uśmiechem macierzyńskiego zadowolnienia.

Salon był duży, wymagający do ożywienia, obecności wielu osób, a ciemne firanki połowę tylko promieni słonecznych wpuszczały do niego. Powaga i spokój prześladowały mię dzisiaj na każdym kroku i działały tak nieprzyjaźnie na moje podniecone nerwy, jak u ludzi w zwykłem usposobieniu hałas lub krzyk niespodziewany. Urządzenie pokoju odpowiadało wymaganiom dobrego smaku, ale z gatunku mebli, z doboru ich nie zawsze jednolitego, refleksya moja mimowolnie wyciągała sobie wniosek, że ten komfort domowy nie przyszedł gospodarzowi łatwo, że nie został nabyty za pieniądze z posagu żony, ale był dziełem pracy i wieloletnich zabiegów.

Na przeciwległej mnie ścianie, tuż nad głową pani domu, wisiał jej portret z lat dawniejszych, jeszcze z panieńskich czasów. Podobieństwo było w nim wielkie, a jednak przedstawiał on to, czem już nie była — niedoświadczoną, spokojną i niewinną dziewczynę o pogodnych rysach i wiotkich kształtach ciała. Ani jej uśmiech ani aksamitne spojrzenie na obrazie nie miały w sobie tej kuszącej siły właściwej kobiece w pełnym rozkwicie i z rozbudzonymi instynktami natury, która tak bardzo drażniła moje pragnienia w oryginale.

Zbity z toru za pierwszym niemal krokiem, nie mogłem nawiązać nowego pasma myśli. Pani domu sama prawie musiała utrzymywać rozmowę, do której ja ledwie wtrąconem tu i owdzie słowem, i to nie zawsze bardzo zręcznie, należałem. Wszystko to, com widział dokoła, zbudziło we mnie nowe wrażenia i uczucia, które z dawnemi w rażącej były sprzeczności. Niecierpliwość i gorączka kochanka zwalniały we mnie i stygły. Czułem w nerwach czasami jakiś nieprzyjemny zimny prąd, który je przygnębiał, i znów jakieś dzi-

wyciosania z niej pierwszego swego posągu; nie jest źle bynajmniej, jeżeli nawet człowiek pozytywny waży się na coś niewykonalnego i przechodzącego miarę, jeżeli wierząc w to, że wszystko może—myślał o wszystkiem, na co można się ośmielić; doświadczenie strąci rychło ze złudzeń to, co było w nich niemożliwego i przesadnego, praca jednak, poczęta pod tem natchnieniem, zachowa zawsze piętno czegoś silnego, czegoś, co umysł podtrzymuje i podnosi. Z błędów saint-simonizmu, dziś tak słusznie zapomnianych, wyszli przecież wyborni inżenierowie, wybitni ekonomiści i finansiści pierwszego rzędu...“ Obok tych uwag podnosił Lesseps gorący patryotyzm i wysoki nastrój prac Henryka Martina.

Renan pochwalił naturalność przemówienia nowego akademika, powstając przeciwko czczym i sztucznym upiększeniom formy, „których nie zna silne przekonanie.“ „Masz pan — mówił — jedną z najcelniejszych zalet literackich i najrzadszą właściwość naszego czasu—nie deklamujesz. Twoja wymowa jest to ów męski i dosadny sposób udzielenia swych myśli drugim, w którym celują anglicy...“ W dalszym ciągu uzasadniał Renan przyjęcie do Akademii twórcy suezkiego kanału tem, że wielkie czyny, zrodzone pod wpływem prawdziwego natchnienia i szerokich myśli, mają niemniejsze prawo, niż dzieła nauki i utwory wyobraźni, do posiadania swych przedstawicieli w gronie „nieśmiertelnych;“ zakończył zaś sentencyą, że „naród, który umie kochać i podziwiać, dalekim jest od śmierci...“ Obaj mistrze, jak widzimy, potrącili o zawieszony obecnie bardon romantyzmu. Czy zawieszony na zawsze—to przyszłość pokaże.

Ze szczytów romantyzmu zstąpmy jednak na niziny naturalizmu. Na scenie Odeonu wznowiono niedawno dramat pionierów szkoły naturalistycznej we Francyi, braci Goncourtów. *Henriette Maréchal*, za kilka dni zaś wznowioną będzie komedya Daudeta, *l'Arlésienne.* Sztukę Goncourtów wystawioną po raz pierwszy jeszcze za cesarstwa, po kilku jednak przedstawieniach upadła, pod naciskiem sprzysiężenia młodzieży uniwersyteckiej, która namiętnie i niezmordowanie starała się utwór ten wygwizdać, jako wprowadzony na scenę, dzięki dworskiej rzekomo protekcyi, oraz jako obfitujący w nieprzyzwoite i trywialne zwroty... Naturalizm jeszcze się właściwie wówczas nie narodził; w dramacie jednak były już jego zarodki, co obok względów politycznych tak wrogo usposobiło romantyczną młodzież. „Naturalista“ pisał się przytem de Goncourt, co przepełniło miarę nieprawości. Dziś Henrietta Marechal graną jest z średniem powodzeniem. *L'Arlésienne* Daudeta wystawioną była w r. 1872 razy 20 w Vaudeville i upadła. Oba te niepowodzenia głośnych dziś naturalistów miały ten skutek, że zniechęciły Goncourtów i Daudeta do teatru, a zwróciły ich do powieści, z korzyścią może dla sztuki.

Na razie był to jednak zawód przykry i dotkliwy. Daudet opowiedział dziś jednemu z reporterów wrażenia swoje i nadzieje z owego czasu. Przywiązywał on do swej *l'Arlésienne* wielkie nadzieje. Wszystko zdawało się zapowiadać jaknajlepiej—mimo to sztuka upadła. Na próbach komedyi obmyślał sobie wówczas Daudet treść do innego utworu, *Fromont jeune et Risler ainé.* Miała to być początkowo komedya, po upadku jednak Arlésienne i niepowodzeniu, jakie spotkało w Ambigu inny utwór tegoż autora, wielki dramat w 7 obrazach, *Lisa Tavernier—Fromont...* ukazał się w szacie powieściowej. Nie zaraz jednak. Daudet zniechęcony i złamany wyjechał na czas dłuższy z Paryża i po półrocznej dopiero niebytności powrócił, ażeby na nowo wziąść się do roboty. I najszczęśliwsze tedy talenty nie zawsze mają drogę usłaną różami. Doznane przytem niepowodzenia i trudne walki z losem zostawiają na długo swoje ślady, nawet już w chwilach powodzenia i sławy. Reporter też znalazł dziś młodego jeszcze Daudeta cierpiącym i zmienionym. Całą zimę cierpiał on na rozstrój nerwowy i inne dolegliwości, co mu przeszkadzało pracować. Mimo to Daudet wygotował świeżo do druku nowe opowiadania humorystyczne *Tartarin'a de Tarascon.* Pracuje także nad powieścią, osnutą na tle wyborów do Akademii francuskiej, którym towarzyszą zazwyczaj różne mniej lub więcej niewinne intryżki. Jak wiadomo, zastrzegł się niedawno w jednym z dzienników, że o krzesło do Akademii nigdy by się nie ubiegał...

Przy tej sposobności zwierzył się przed reporterem z niektórych tajemnic swej artystycznej twórczości, i wypowiedział kilka uwag z zakresu estetyki.

Pokazując swemu gościowi gruby zeszyt notatek, wyznał, że nie mógłby siadać do pisania powieści, gdyby poprzednio nie obmyślał i nie opracował każdego swego utworu, będącego na warsztacie, nie tylko w ogólnych zarysach, lecz nawet w drobnych szczegółach, rozdział po rozdziale, kartka po kartce...

Prawdę w sztuce pojmuje Daudet w sposób następujący: „Ażeby szukać i znaleść prawdę, nie dość jest fotografować przedmioty, pozbawiając je wszelkiej barwy życiowej; trzeba, ażeby skalpel artysty przeniknął do głębi serca i mózgu, dla pochwycenia namiętności ludzkich w całej nagości, lecz także w całej ich idealnej wielkości...“ Daudet wyraził następnie niedowierzanie do utworów zbyt obmyślanych, zbyt mądrze skomponowanych, zbyt logicznych... życie bowiem niema owej czystości linii architektonicznych, a bieg ludzkich wypadków nie zawsze trzyma się arystotelesowskiej logiki. Z zadowoleniem zresztą zaznaczył, że sztuka obecna stara się jaknajbardziej zbliżyć do rzeczywistości, i że fałszywa pruderya nie jest w stanie zakryć przed nami niepodrabianej rzeczywistości...

Zmarł tu niedawno w domu obłąkanych w Charenton głośny niedawno rysownik, malarz karykaturzysta, a nawet poeta i pisarz sceniczny znany pod pseudonimem, Andrzej Gill. Rozkwit jego talentu datuje się z czasów cesarstwa, był on jednak jeszcze niebezpiecznym w epoce „moralnego porządku“ i mac-mahońskiego zamachu 16 maja. Ołówek Gilla poniekąd przypominał pióro Rocheforta. Za cesarstwa rozchwytywano w niezliczonej ilości egzemplarzy pisma *La Lune*, *L'éclipse* itd. które pomieszczały jego karykatury. Z niwy poetycznej najbardziej znanym jest zbiorek arcynaturalistycznych piosenek Gilla p. t. *La Muse à Bibi*; w Odeonie wystawił wierszowaną jednoaktówkę *la Corde au cou*, w Renaissance zaś na współkę z Janem Richepinem „dzieło szekspirowskie,“ komedyę obyczajową *l'Etoile.* Ostatnim jego obrazem był *le Fou*, namalowany po wyjściu z domu waryatów. Sportretował w nim swego lekarza. Gill wyznawał przekonania radykalne i należał do Komuny. Był to zresztą całe życie cygan w całem znaczeniu tego słowa.

Cyganem natomiast wcale nie był p. Dumont, zmarły świeżo wydawca *Gil-Blasa*, jeden z najsprytniejszych i najszczęśliwszych wydawców. On to na spółkę z Villemessantem założył *Figaro*, w roku 1871 rozszedł się z swoim wspólnikiem ze względu na swe polityczne rzekomo przekonania i założył *l'Evénement*, republikańskie *Figaro.* Nowy dziennik miał świetne powodzenie i wychodzi dotąd. Po korzystnem pozbyciu się *l'Evenement* Dumont puścił w świat istniejący również dotychczas *Le Telegraphe*, po kilku zaś latach wydawniczego spoczynku, w czasie którego zajmował się wyłącznie admini-

---

wnego rodzaju zawstydzenie, które nagle piekło mię w policzki.

Kiedy Zofia mówiła, nie rozumiałem jej często, bo równocześnie paliły mi twarz spojrzenia tych dwojga dzieci, które w milczeniu nam się przysłuchiwały. Co chwila też odwracałem głowę w ich stronę, jakbym chciał się naocznie przekonać, czy one rzeczywiście tam stoją i patrzą na mnie—na mnie, którego najsilniejszym było zamiarem zawiązać romans z ich matką.

Byłem nie swój, roztargniony i rozstrojony do najwyższego stopnia.

Ta kobieta, którą niedawno z taką zapalczywością chciałem posiąść i która siedziała teraz naprzeciwko mnie, o trzy kroki, zniknęła mi prawie z oczu, nie była dla mnie obecną; zaledwie słyszałem jej głos jak przez sen, bo w tym samym czasie byłem zajęty innemi całkiem myślami i obrazami, które przesuwały mi się przed oczami duszy. Z teraźniejszości przerzuciłem się w przeszłość i w przyszłość spojrzałem.

Cała historya tej, której kochankiem chciałem zostać, stanęła przedemną tak jasno i dokładnie, jak gdyby mi ona ją sama w tej chwili opowiadała.

Widziałem młodą i niewinną dziewczynę przed laty, jak mi ją przedstawiał portret wiszący przedemną, może sierotę, może córkę biednej wdowy, niemogącej dać sobie rady na świecie. Dziewczyna prócz urody i wdzięków nie miała żadnego innego paszportu do przejścia przez życie, żadnego innego posagu do wyjścia za mąż. Młodzi, którym jej widok łechtał zmysły i rozpalał namiętności, chcieli się w niej kochać, ale niechcieli prowadzić przed ołtarz. Znalazł się człowiek starszy, dobry i szlachetny, któremu dziewczyna się podobała i który za trochę uczucia gotów ją był wynagrodzić. Prosił o jej rękę i po niejakiem wahaniu otrzymał ją. Może inni ludzie namówili do tego dziewczynę, może sama, rządząc się więcej rozsądkiem niż sercem, przyjęła tę propozycyę, jako jedyny dla siebie ratunek. Dość, że została jego żoną. Niedługo została matką. Mąż kochał ją i ubóstwiał, dał jej uczciwe i zasłużone poniekąd imię, dał jej przez usilną pracę dostatek i pewne stanowisko towarzyskie. Nie żądając od niej wiele, bo jasno pojmował obustronne położenie, nie wymagał miłości, chciał tylko przywiązania i szacunku, a ponieważ wierzył w jej szlachetność, zostawił jej zupełną swobodę. Młoda żona nie zawodziła tego zaufania; ani sama sobie, ani świat jej nie mógł zarzucić żadnego kroku, który byłby złamaniem obowiązków. Ale zarzewie miłości, które nigdy u niej nie buchnęło płomieniem, tliło się tajemnie, przygłuszone w sercu. Potrzeba było tylko sposobności, jednego podmuchu wiatru, ażeby rozgorzało, ażeby prawa natury pokazały się silniejsze od głosu obowiązków i moralnego przymusu. Pierwszy lepszy niegodziwiec, z brudnymi zamiarami w duszy, ale z namiętnem słowem i płomieniem w oku, mógł, korzystając ze słabości tej kobiety, która dotychczas pełnem sercem nie żyła, a choć jedną chwilę tak żyć pragnęła, sprowadzić ją z drogi prawej i zrobić na całe życie nieszczęśliwą.

Tym niegodziwcem miałem być — ja...

Łatwo sobie wyobrazić, jaką męką przy podobnych uczuciach stała się dla mnie rozmowa z piękną kobietą. Jak zbawienia wyglądałem chwili, w którejby się nasze sam na sam skończyło.

I ona w końcu musiała poznać mój stan niezwykły. Jej oczy, które z początku chętnie ścigały moje lub na mej twarzy spoczywały, szukały potem w przestrzeni jakiegoś punktu oparcia, a wreszcie, jakby

stracyą wielkiej drukarni, założył *Gil Blasa*, który odrazu stał się niesłychanie poczytnym. Ten ostatni dziennik, zarówno jak i oba *Figara*—monarchiczne i republikańskie powodzenie swe zawdzięczały przedewszystkiem temu, że zrobiły się organami półświatka. Dziś żaden z tych dzienników nie jest specyalnym organem tego rodzaju—tematy bowiem i sposób pisania przez nie zaprowadzone przeniknęły już do wielu bardzo dzienników różnej barwy. „Świat“ zmieszał się z „półświatem,“ granica między „cnotą“ i „niecnotą“ zaciera się coraz bardziej. Zepsucie szerzy się coraz bardziej! Inni powiadają, że to tylko naturalny rozwój stosunków między płciami...

Pokrótce tylko mogę zaznaczyć, że w dniu dzisiejszym odbyło się doroczne posiedzenie Towarzystwa historycznego w sali Biblioteki polskiej przy Quai d'Orleans. Po przemówieniu wstępnem prezesa ks. Władysława Czartoryskiego i odczytaniu sprawozdania przez sekretarza towarzystwa p. Gadona, p. Władysław Chodźkiewicz wypowiedział dłuższy odczyt o życiu i działalności apostolskiej braci Cyrylla i Metodego, oraz o uroczystości welehradzkiej. Odczyt, wypowiedziany był gorąco i obfitował w szczegóły historyczne. Prelegent podniósł znaczenie słowiańskiego języka w liturgii, zaznaczył stanowisko rzymskich papieży i biskupów niemieckich wobec tej sprawy, i wyraził swe sympatye dla odradzającej się słowiańszczyzny.

W dniu pierwszym maja odbył się w Towarzystwie geograficznem przy Saint-Germain odczyt p. Seweryny Duchińskiej o Petöfim. Prelegentka ilustrowała zajmującą swą pogadankę licznymi ustępami z utworów Szandora. Odczyt wypowiedziany był na rzecz istniejącego tu od niedawna „Towarzystwa wzajemnej pomocy uczącej się młodzieży polskiej w Paryżu.“ Zebranie w jednej z sal Tow. geograficznego zagaił p. Hertel, inżenier, następnie przemówił w kilku słowach jeden z młodzieży, po odczycie zaś przemawiał prof. Duchiński, nawiązując rzecz do swego 50-letniego jubileuszu działalności pisarskiej, który zamierza obchodzić w tym roku lwowskie Koło literackie. Dla wyjaśnienia zaznaczam, że rzeczone Tow. *uczącej się* młodzieży nie jest tu jedynem, wyłoniło się bowiem niedawno jako konserwatywna mniejszość z innego Towarzystwa—*kształcącej się* młodzieży polskiej w Paryżu, które dotąd istnieje.

P.

Dwa skandale.

II.

Nie masz w naszej literaturze dotychczas powieści kryminalnych, ani też realistycznych, odtwarzających życie ludzkie z jego strony najwstrętniejszej. Co mamy, to dopiero kroki niemowlęce na tem polu. Brak nam Gaboriau'a i Zoli. A jednak i w organizmie naszego społeczeństwa znalazłby się dla nich materyał. Bo oto posłuchajcie.

Już wam z nazwiska znany młody hrabia był wielce żądnym sławy, ażeby starą tarczę rodową przyozdobić świeżym liściem wawrzynu, za własne zasługi zdobytym. Z początku badał swego i innych herbowych gniazd dzieje, teraźniejsze koligacye, kreślił linie młodsze i starsze, znaczył dni urodzin i śmierci. Praca piękna wprawdzie, lecz tylko szczupło greno wybranych ją podziwiało i ledwie jedna akademia (?) uznanie publiczne dla autora wypowiedziała, zaliczywszy go w poczet swych członków. Hrabia zapragnął szerszej widowni. Myśli, co mu ducha rozpierały, chciał przelać na papier w formie, dla ogółu dziś najponętniejszej. Wydobył pugilares i — poczęły się zapełniać szpalty czasopism jego nowelami. Jeden zwłaszcza wydawca miał to szczęście, że hrabia jego pismo za stały przybytek sobie upodobał. Mieć stosunki z hrabią, zwłaszcza gdy ten o honoraryum nawet nie wspomina, to już tyle szczęścia dla wydawcy, że ani spojrzy na rękopis. Nic też dziwnego, że hrabiowskie nowele sypały się obficie, a ogół podziwiał talent i pracowitość magnata.

Niema jednak na świecie szczęścia bez chmur, róż bez cierni. Znalazł się krytyk bez pobłażliwego oka, który wypowiedział przed wydawcą swe zdanie o autorskiej działalności hrabiego, z dodatkiem, że nie omieszka przy sposobności zapoznać i szerszą publiczność z jego twórczością.

Pan hrabia znalazł się niespodzianie w kłopotliwem nieco położeniu. Nie pragnął zgoła sławy, obiecywanej mu przez krytyka. Lecz jakże jej zapobiedz, kiedy krytyka ramię sięga nawet po za granice państwa a zdanie, przez niego wypowiedziane, głośnem może odbić się echem? Udał się więc spiesznie po radę do swego sekretarza — hrabiowie bowiem muszą mieć sekretarzy — który zrozumiał sytuacyę należycie.

— Drobnostka — rzekł — krytyk to mój przyjaciel od serca — wszystko dla mnie zrobi. Ale, to człowiek biedny, z pracy literackiej utrzymuje żonę i dziecko, trzebaby mu jakoś przy tej sposobności przyjść z pomocą.

Za chwilę p. sekretarz przedstawiał „kochanemu“ przyjacielowi, że go błędnie powiadomiono co do autorstwa nowel, że on, sekretarz p. hrabiego, zna najlepiej wszystkie jego interesy i może zaręczyć, iż hrabia w tej sprawie czysty jak łza, że zresztą nie godzi się nawet uderzać na tak gorliwego mecenasa literatury, który up. dowiedziawszy się o tem, jak znakomity krytyk ciężko musi pracować, ażeby zarobić na utrzymanie rodziny, gotów mu bezinteresownie przyjść z pomocą. Po tych słowach z niewymownym wdziękiem zaczął kreślić korzyści i powaby banknotu, na którym jedynka w towarzystwie trzech zer w bezprzykładnej zostaje harmonii.

Krytyk wszakże wyraził powątpiewanie, jak sądził uzasadnione, czy wypada mu przyjąć pomoc od p. hrabiego, kiedy już otwarcie wypowiedział zdanie o jego autorstwie, a gdyby teraz zamilczał, złośliwe języki roznioslyby wieść o nowym *Schweiggeldzie.*

Gorliwy pośrednik nie zdołał jakoś przekonać krytyka o śmieszności oglądania się na takie niepowołane głosy i konferencya spełzła na niczem. Lecz, że sprawa była piekąca i p. hrabiemu koniecznie trzeba było przyjść z pomocą, sekretarz zaprosiwszy jeszcze dwóch towarzyszów na naradę, z nimi i z hrabią plan nowej kampanii ułożył.

Nie od rzeczy może będzie na tem miejscu naszkicować kilku słowy nowo wstępujące postacie, które w dalszej akcyi niepoślednią odegrały rolę. Obaj ci panowie osiągnęli najwyższy stopień naukowy, obaj uroczyście przyrzekali wysoko dzierżyć sztandar wiedzy i nauki. Lecz jeden, obrawszy sobie na przyszłość zawód obrońcy uciśnionych, własną filozofią doszedł do przekonania, że obowiązkiem adwokata *każdej* jąć się sprawy, drugi między swoim a hrabiego-nowelisty rodem z zapałem poszukiwał pomostu aż w Piastowskiej epoce i za ten pomost, za zbliżenie się do wysokiego krewniaka, wszystkie swe prace naukowe a może i życia połowę złożyłby w ofierze.

Toż nie dziw, że ci panowie tak chętnie pospieszyli na usługi hrabiego. Jeszcze raz spełnił sekretarz z ochotą misyę pośrednika. Nie wiem, jakich używał argumentów, dość że nieostrożny krytyk zjawił się o u-

---

zmęczone, zasunęły się powieką i spuściły ku ziemi.

Kiedy mąż, ze swym zwykłym dobrodusznym i serdecznym uśmiechem, we drzwiach się zjawił, podniosłem się machinalnie z krzesła i zrobiłem kilka kroków ku niemu, po części z radości, po części przez jakieś uszanowanie, które nagle mię dla niego ogarnęło.

Chciałem mu wynagrodzić to lekceważenie, ten sarkazm, jakim przed dwoma dniami w głębi duszy go obrzucałem.

Pomimo pomocy i ulgi, jaka mi w jego osobie przyszła, nie mogłem dłużej w tym domu wytrzymać. Myśli rwały mi się w głowie, czułem, że mię coś dusi w gardle.

Z nienaturalnym pośpiechem, bąknąwszy kilka słów bez związku, jakby mi coś nagle przytomność odebrało, pożegnałem się z gospodarstwem, i ledwie dotknąłem końcami palców wyciągniętych do mnie ich dłoni.

Widziałem tylko tyle, że ona miała twarz zachmurzoną i żegnając mię, patrzyła w ziemię, i że jej dzieci, kiedym pierwszy krok do wyjścia robił, wyprostowały się nagle, podniosły główki jakby ucieszone i wesoło po sobie spojrzały.

Może instynkt, wrodzony nierozumnym stworzeniom i dzieciom, powiedział im, że odchodzi ten, co chciał być uwodzicielem ich matki, a może ucieszyły się z tego, że matka będzie miała teraz czas dać im drugie śniadanie. Któż to może wiedzieć?

Jeszcze prędzej niż przed pół godziną na górę zeszedłem na dół. Uciekałem jak spłoszony złodziej.

Odetchnąłem dopiero swobodniej świeżem powietrzem na ulicy, i zebrawszy trochę bezładne myśli, byłem w stanie przyjść do wyraźnej refleksyi.

— Nie — mówiłem do siebie — ja nie będę tym niegodziwcem! Tę kobietę, której dziś dobrze jest w rodzinnem kole, która ma szacunek świata, kochałbym przez pół roku, rok, może dwa, a potem zostawił jej czarną pamięć niesławy i zapomnienia o świętych obowiązkach!... Miałbym się wkraść do tego domu pod osłoną tej reputacyi, jaką mi dotychczasowe życie u ludzi wyrobiło, aby odegrać w nim rolę hipokryty i oszusta! Miałbym zdradzać ufność i dobroduszność tego człowieka, który mi sam drzwi swego domu otworzył, i codziennie ściskać jak przyjaciel jego ręce wyciągnięte do mnie, a okradać go jak nikczemnik z jego dobrego imienia i honoru! Te dzieci miałyby tak zawsze patrzyć na mnie pochmurnie i niedowierzająco, odgadywać przeczuciem, że ten człowiek im i matce czyni wielką krzywdę, a kiedyś, gdy dojdą do rozumu i gdy ja ochłonąwszy z młodzieńczych namiętności będę może chciał uchodzić za poważnego członka w społeczeństwie, przeklinać i piętnować mianem podłego złoczyńcy!.. Nie, nigdy, nigdy!.. tego nie chcę, nie chcę!

I nie poszedłem już nigdy więcej na Mazowiecką ulicę.

Przez długi czas unikałem starannie wszelkiego spotkania się czy to z mężem, czy z żoną. Do państwa X. przez parę miesięcy nie zajrzałem; gdy mi wypadło być gdzieindziej, wybadywałem naprzód, czy tam nie zastanę artysty-muzyka lub pani Zofii. Po pół roku może dowiedziałem się, że przenieśli się na stały pobyt do Kijowa.

Dotychczas jeszcze tam mieszkają.

Adam Bełcikowski.

mówionej godzinie w pomieszkaniu hrabiowskiem „na poufną pogadankę,“ niepomny na to, że po tem, co się stało, już tem samem zjawieniem rzucał cień na swe dobre imię.

Pogadanka zrazu toczyła się o rzeczach ogólniejszych. P. hrabia interesował się literaturą a zwłaszcza pracami krytyka, poruszono więc niejedną kwestyę. Potem zapytał delikatnie gościa o domowe stosunki i ubolewając nad jego ciężkim losem, z serdeczną gotowością ofiarował się przyjść mu z pomocą.

Gotowość ta znalazła oddźwięk w duszy krytyka; pożyczka 1,000 złr. bardzoby mu przypadła w porę—mówił—bo mógłby uregulować swoje sprawy finansowe i nieco w pracy odpocząć.

— Cóżbyś mi pan dał w zamian? — spytał pół żartem hrabia.

— Moją pomoc literacką — była odpowiedź.

Do bliższego określenia tej pomocy literackiej nie przyszło, ale dalsza rozmowa od tej chwili dziwny przybrała obrót. P. hrabia sam zaczął mówić o swych nowelach, połączył sprawę autorstwa z ową pożyczką 1,000 złr. i zaczął bawić się z krytykiem, jak kot z myszą. Trudno podać słowa, jakie z obu stron padały, dość że gospodarz domu spytał:

— Ostatecznie, cóżbyś pan tak dalece mógł mi zrobić?

— Zmazałbym nazwisko pańskie bez wahania błotem — była niefortunna odpowiedź.

W tej chwili spadł grad obelg a przed wzrokiem osłupiałego krytyka rozsunęły się naraz portyery, zasłaniające dotychczas wejście do sąsiedniej komnaty i z ukrycia wystąpili dwaj znajomi sekretarza p. hrabiego.

Nim złapany zdołał opanować swoje myśli, już prawnik wyłożył mu szczegółowo i dokładnie, że wraz z towarzyszem swoim nie uronił ani słowa z całej rozmowy, że postępowanie krytyka mieści w sobie wszelkie znamiona gwałtu publicznego za pomocą wymuszenia, t. z. *Erpressung*, że zbrodnia ta zagrożona jest karą ciężkiego więzienia od lat 5 do 10, że winnego czeka natychmiastowe uwięzienie, co bez zwłoki może nastąpić, bo komisarz policyi czeka tylko na znak umówiony (w tej chwili otworzył drzwi od przedpokoju, ukazując jakąś niewyraźną figurę z blaszanym orzełkiem na piersi), że wreszcie wszelki opór jest bezowocny, bo w razie potrzeby może być przełamany — tu uchylając drzwi wskazał na dwóch sążnistych drabów w liberyi. Szlachetny hrabia jednak—dodał—gotów mu przebaczyć zbrodnię i całą sprawę puści w niepamięć, jeżeli w zamian następujące niewinne podpisze odświadczenie.

Po tych słowach nastąpiło odczytanie cyrografu, w którym krytyk uroczyście zapewniał, że nowela hrabiego drukowana w pewnem czasopiśmie jest niewątpliwie jego pióra, że głosząc przeciwne twierdzenie, chciał na autorze wymusić kwotę 1,000 złr. za milczenie, że na przyszłość podobnych wieści rozsiewać nie będzie.

Próżno błagał i prosił nieszczęsny krytyk, próżno wstawiał się za nim i sam hrabia-autor, który już zmiękł jakoś i chciał się zadowolnić słowem honoru — nic nie pomogło. Obrońcy hrabiego niewzruszeni dotrwali do końca w swej roli, mówiąc: „zbrodniarza nie wypuszcza się z rąk, dopóki nie uczyni się go nieszkodliwym.“ Wreszcie skończyło się. Podyktowany mu straszny dokument napisał i podpisał całem imieniem i nazwiskiem złamany na duchu krytyk i pozostawiwszy tak straszną przeciwko sobie broń w ręku przeciwników, opuścił mieszkanie magnata.

Zwycięzcy pobiegli głosić swój tryumf: jeden odpis cyrografu wręczyli wydawcy, z którym hrabia i krytyk mieli stosunki, drugi profesorom uniwersytetu, w którym krytyk ubiegał się o katedrę. Oczywiście była to tylko przyjacielska przysługa...

Jakkolwiek jednak wszędzie dumnie zapewniali, że spełnili tylko swój obowiązek, odkrywając niebezpiecznego zbrodniarza, opinia publiczna dziwnem okiem jakoś patrzyła na tę interwencyę za kotarami a kiedy w *Kole literackiem* dały się słyszeć głosy, że na wszystkich uczestników zajścia należałoby złożyć sąd honorowy, niedawni tryumfatorowie znikli z widowni, wypisawszy się co rychlej z *Koła*.

Smutną była dola krytyka. Najserdeczniejsi przyjaciele musieli mu wyznać otwarcie, że chociaż potępiają wstrętne i niegodne postąpienie strony przeciwnej, nie mogą jego całkiem uniewinnić. Trzeba więc sądu, któryby wyświecił winę. Ażeby sprawy nie rozmazywać dalej, zaproponowano na razie sąd polubowny. Niestety sąd ten rozszedł się bez żadnego rezultatu, bo pełnomocnicy hrabiego żądali, aby tylko krytyka sądzono, nie tykając dostojnej osoby ich mocodawcy, na co oczywiście inni sędziowie zgodzić się nie mogli.

Po tak niefortunnem zabagnieniu sprawy życzliwi doradzali krytykowi, ażeby, jeżeli czuje się niewinnym, oddał sprawę do sądu karnego, który niewątpliwie wszystko wyświeci i sprawiedliwość wymierzy. Krytyk mówił, że to niechybnie uczyni, radził się prawników i nieprawników, wyrażał wątpliwość, czy proces może wypaść na jego korzyść, kiedy przeciwnikiem jest możny magnat, za którym jeszcze stoją dwaj świadkowie; w końcu na gorętsze nalegania napisał już doniesienie o całym fakcie i schował do biurka.

Stanąłem u kresu opowieści, do najdrobniejszych prawie szczegółów prawdziwie skreślonej na podstawie informacyi stron obu. Niech nikt nie sądzi, że to sprawa małoważna, bo — kto w niej występuje! Hrabia, przedstawiciel jednego z najstarożytniejszych rodów, członek pewnej akademii zagranicznej, wielki pan, mecenas literatury; krytyk, młody uczony, sięgający po katedrę uniwersytecką, którego imię w krótkim czasie zjednało sobie rozgłos niepośledni a prace szeregi pochwał; wreszcie inni, przyozdobieni biretem doktorskim, odznaką stawiającą ich w rzędzie wybranych!

Dość już, dość! Z wstrętem zamykam straszną kartę, z której tyle moralnej nędzy wyziera *).

Leszek.

*) Korespondent nasz (którego doniesienie dla braku miejsca musieliśmy nieco skrócić, zachowując wszakże osnowę główną), jako będący na gruncie zajścia, mógł je zbadać wszechstronniej i szczegółowiej, niż my. Ale pozostawiając mu swobodę w oznaczeniu stopnia winy stron obu, kładziemy ponowny nacisk na obowiązek Koła literackiego w podjęciu i rozpoznaniu tej sprawy. Dopiero gdyby krytyk z tej strony nie otrzymał dostatecznego poparcia, winien zwrócić się na drogę sądu państwowego. *Red.*

MIKOŁAJ KOSTOMAROW.

(Wspomnienie pośmiertne).

I.

Zmarły niedawno historyk rosyjski zasługuje na obszerniejszą wzmiankę z naszej strony, ponieważ większa część prac jego poświęcona była bądź to wprost dziejom Polski (*Ostatnie lata Rzeczypospolitej*) bądź też wypadkom i osobom ściśle z przeszłością naszą związanym—jak np. cały szereg monografij dotyczących Małorosyi i Kozaczyzny.

Jako historyk należał on do pragmatyków starej szkoły, wiążących zdarzenia dziejowe nitką myśli przewodniej, z własnej głowy wysnutej. Osnowa wypadków nie wypływała ze skrupulatnego ich zbadania, ale wprost przeciwnie—fakty zawsze brane były tylko dla ilustracyi pewnych, z góry powziętych przekonań. Sądy swoje wydawał na podstawie dzisiejszej etyki, która znowu u niego w wielu razach nie jest wcale etyką o podniosłej skali.

Publicysta w historyi Kostomarow na odwrót był historykiem w polityce i w sądzeniu faktów bieżących nadawał przesadne znaczenie czynnikom historycznym. W swoich poglądach politycznych był on bardziej stałym, aniżeli w zapatrywaniach historycznych, ale stałość ta nie może być mu poczytaną za zaletę. Czy to przed 25 laty w *Osnowie*, czy niedawno w *Nowem Wremieni* jest on zawsze w swoich artykułach dziennikarskich historykiem tylko i to historykiem tendencyjnym, który swoją niewłaściwą miarę dla oceny bieżących i przyszłych stosunków wysuwa na plan pierwszy i posługuje się nią prawie wyłącznie. Specyalność historyka zniecząlała często w nim nerw przyjmujący wrażenia moralne. Nie brakło mu nigdy słów pięknie brzmiących, nie brakło patosu oskarżyciela dla potępienia krzywd dziejowych, ale nie znajdował jednego bodaj słówka współczucia dla spraw chwili obecnej.

Poglądy Kostomarowa rozwijały się niezależnie od badań naukowych. Posiadał on sporą dozę krytycyzmu wrodzonego, który przejawiał się świetnie wtedy, gdy autor nie był w wynikach prac swoich zainteresowany. Dla poważnej krytyki brakło mu metody ściśle naukowej, ale w oświetlaniu pojedynczych szczegółów był niezrównany. Obalił on wiele legend historycznych, wielu innym nadał prawdziwe znaczenie. Ale w tych wypadkach, kiedy zdarzenia historyczne zahaczały o węgły gmachu jego przekonań, nie wahał się poświęcić części prawdy, nieświadomie może, bo tak był myślą swoją przejęty, że dowodów przeciwnej świadczących nie dostrzegał lub dostrzegać nie chciał.

Dla przykładu dosyć przytoczyć zapatrywania jego na epokę wojen kozackich. W całym szeregu dzieł i rozpraw ulotnych Kostomarow dowodzi, że ruch kozacki XVII wieku był dążeniem ludu małoruskiego do połączenia się z narodem współplemiennym. Przyczyny ekonomiczne schodzą na plan drugi, to samo polityczne współzawodnictwo starszyzny kozackiej ze szlachtą i wiele innych—ruch zaś w przedstawieniu historyka nabiera znaczenia narodowego. W takiem oświetleniu uwydatnia się potężnie postać Bohdana Chmielnickiego. Późniejsze badania, w których Kostomarow przyjął nie mały udział, zaprzeczają wręcz takiemu poglądowi, jednakże autor nie odstępuje od swojej ulubionej myśli, chociaż w szczegółach uwzględnia zdobycze krytyki historycznej.

Dodać należy, że pogląd taki nie wiąże się naturalnie z teoryą Kostomarowa, wypowiedzianą w głośnym artykule *Dwie narodowości ruskie*. Wykazuje on tu różnice zasadnicze w charakterze wielkorosyan ukraińców, i podobieństwo tych ostatnich do polaków. Rozwój wewnętrzny społeczeństwa małoruskiego odbywał się według tejże modły, co i polskiego. To podobieństwo w połączeniu z odrębnościami zewnętrznemi było jedną z głównych przyczyn antagonizmu. Sądzi on wszakże, że tylko naród rosyjski posiadał odpowiednie przymioty do wytworzenia potężnego państwa, które wyrobił w sobie bądź to wskutek odmiennych warunków życia, bądź wskutek domieszki krwi obcej. Ziomkom swoim, ukraińcom, Kostomarow

odmawia właściwości narodu politycznego, charakter ich bowiem nie daje do tego rodzaju działalności odpowiednich podstaw.

Brakiem charakteru politycznego tłomaczy on również upadek Polski w dziele swojem: *„Ostatnie lata rzeczypospolitej*. Monografia ta zasługuje na obszerniejszą wzmiankę, i odpowiada mniej więcej pracom Siebela i innych w literaturze niemieckiej. Dzieło Kostomarowa nosi cechę naukową, autor usiłuje trzymać się w tonie spokojnym i bezstronnym, ale w myśli przewodniej, w ugrupowaniu szczegółów, w wyrażeniach pojedynczych, w tem wreszcie wrażeniu, jakie dzieło na czytelnika wywiera, przebija się tendencyjność.

Dzieło Korzona, z którego daliśmy poprzednio obszerne sprawozdanie, jest w znacznej mierze odpowiedzią na poglądy Kostomarowa. Czytelnika, pragnącego zbadać dokładnie szczegóły tych odmiennych zapatrywań, odesłać musimy do pracy autora polskiego, w której znajdzie wiele odpowiedniego materyału. Rozmiary artykułu dziennikarskiego pozwalają nam zaledwie wykazać ogólne podstawy dzieła Kostomarowa i, co najwięcej, zwrócić uwagę na pewne ważniejsze niedokładności faktyczne.

Główną myśl swoją przeprowadza Kostomarow w całem dziele dosyć konsekwentnie. Ponieważ charakter narodowy polaków nie nadawał się do wytworzenia silnej organizacyi politycznej, więc nawet w epoce Bolesławów dopatruje już autor znamion rozkładu i bezsilności. Pogląd ten wobec badań nowszej szkoły historyków naszych i niemieckich, nie może się utrzymać, władza królewska nie tylko nie upada w epoce piastowskiej, ale owszem wzrasta, jak zresztą w całej Europie. Wzrost ten nie odbywa się stale, feodalizm możnowładczy święci nieraz chwilowe tryumfy, ale w rezultacie poczynając od Łokietka a zwłaszcza Kazimierza W., powaga króla utrwala się i już przy pierwszych Jagiellonach państwo patryarchalne przekształca się na państwo nowożytne, zyskując przy tej przemianie na znaczeniu i sile. Mylnie również widzi Kostomarow w owym czasie narodziny potęgi szlacheckiej w późniejszem znaczeniu tego wyrazu. Teorya o istnieniu dwóch klas lechów i kmieci pogrzebaną już została w archiwach historycznych, jak również myśl o pochodzeniu sejmów wprost od wieców słowiańskich.

Według Kostomarowa po śmierci Mieczysła Gnuśnego, kmiecie wystąpili przeciw lechom, Bolesław Śmiały opierał się na kmieciach i prześladował lechów i duchowieństwo, Władysław Herman na odwrót itp. Współzawodnictwo Polski i Rusi zaczyna się już w X wieku, t. j. wtedy, kiedy jeszcze ani Polski, ani Rusi nie było, ale był cały szereg drobnych narodów, zaczynając od Polan nad Wartą i kończąc Wiatyczami nad Oką, który przedstawiał najrozmaitsze stopnie pokrewieństwa plemiennego, bardzo bliskiego w grupach sąsiednich. Współzawodnictwo to przechodzi z biegiem czasu w walkę Moskwy z Litwą, a potem i Polską o Ruś. Idea narodowości, która świadomie występuje dopiero w XIX wieku, według Kostomarowa była podstawą polityki książąt moskiewskich, którym chodziło nie tyle o rozszerzenie granic ile o zjednoczenie całego narodu ruskiego. Tę mniemaną konsekwencyę w polityce, to dążności narodowe najlepiej krytykuje sam Kostomarow w innem miejscu, kiedy wyrzuca rządowi rosyjskiemu, że po przyłączeniu Litwy i Rusi pozostawił bez zmiany istniejący tam stan rzeczy, uważał to prowincye za ziemie polskie i ze szkodą dla żywiołu miejscowego protegował szlachtę polską.

Na tle tym przedstawia Kostomarow obraz wzorzysty upadku Rzeczypospolitej. Przyczyny faktu widzi on, jak nadmieniliśmy wyżej, nie w okolicznościach zewnętrznych, nie w instytucyach publicznych, upadku władzy, uciemiężeniu chłopów itp., ale głównie w charakterze polaków, zwłaszcza zaś szlachty, który czynił ich niezdolnymi do życia politycznego.

Podstawą tego charakteru jest przewaga uczucia nad rozumem, lekkomyślność, gwałtowność, egoizm rodzinny lub stanowy, nieporządek wreszcie. Wypowiadając zdanie, że ani uciemiężenie chłopów, ani fanatyzm religijny nie były przyczynami upadku Polski, Kostomarow o parę kart dalej zapomina o tem, i w tych właśnie zjawiskach widzi znamiona rozkładu społeczeństwa polskiego.

Wychowanie dzieci określa charakter działalności narodu. Wadą jego główną w Polsce była zbytnia surowość. Kostomarow zapomina tu, że tylko co mówił o miękiem sercu i dobroduszności polaków, jak również to, że w narodzie, któremu przyznaje monopol charakteru politycznego, było ono stokroć okrutniejszem. Oprócz tego wychowanie wszczepiało jakoby pochlebstwo, służalczość i chytrość. Jeżeli dodamy do tego „główną cechę społeczeństwa polskiego"—obżarstwo i pijaństwo, to w rezultacie wytworzy się taka dziwaczna mieszanina, której sam autor określić nie potrafi.

Zręcznie powybierane i zestawione ustępy z pamiętników służyć mają do ilustracyi twierdzeń autora. Ale pilnie przeczytawszy cały ten wstęp, czytelnik nie wie wcale, jaki był właściwie charakter polaków. Wyliczywszy najrozmaitsze wady i występki Kostomarow dodaje, że cechą jego było nie tyle istnienie stron ujemnych ile brak dodatnich.

Ponieważ nie potrafimy zdać sobie sprawy jakie były zasadnicze podstawy charakteru polaków, które doprowadziły Rzeczpospolitę do upadku, przyjąć musimy na wiarę słowa autora, że charakter ten uniemożliwiał wytworzenie potęgi politycznej, że on był jedyną przyczyną katastrofy, i z kolei przyjrzyjmy się przebiegowi tej tragedyi.

(D. n.).

W-o.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Kartezyusz. **Rozmyślania nad zasadami filozofii**, dowodzące istnienia Boga i różnicy pomiędzy duszą ludzką i ciałem, przełożył z łacińskiego Ignacy Karol Dworzaczek, Warszawa.

Prof. Struve, pod którego redakcyą przekład dokonany został, objaśnia w przedmowie, że oddawna już powziął zamiar wydania *Biblioteki filozoficznej*, na co Kasa Mianowskiego zabezpieczyła mu odpowiednią sumę. *Rozmyślania* Kartezyusza są właśnie pierwszem ogniwem tego łańcucha, w którym dalej pójdą: traktaty Platona, Arystotelesa, Leibnitza, Malebranche'a itd. Pomijając to, co będzie, zapytujemy przy tem, co jest: dla kogo? Dla kogo warto tłomaczyć rozprawę Kartezyusza, która zająć może tylko badacza dziejów filozofii, mogącego czytać oryginał? Rozprawa ta posiada jedynie wartość historyczną, ludzie ukształceni dla rozstrzygnięcia sobie objętych nią zagadnień do rąk jej nie wezmą, kto tedy będzie się z niej uczył? Nie przesadzimy chyba, przypuszczając, że w najlepszym wypadku znajdzie ona dziesięciu ciekawych; dla tych zaś 10 drukować książkę—to zbytek. Myśl prof. Struvego jest w zasadzie dobrą, ale przyniosłaby ona pożytek wtedy tylko, gdyby w skład *Biblioteki filozoficznej* weszły dzieła i traktaty zdolne zainteresować ogół ludzi inteligentnych lub jakąś ich grupę. Porównanie z niemcami, którzy również tłomaczą Platona, Arystotelesa, Kartezyusza itd. niczego tu nie dowodzi, gdyż tam ilość oraz jakość jednostek ukształconych jest znacznie wyższa, a nadto ich przekłady są dokonywane nie dla samych potrzeb miejscowych. Bez Schleiermachera nikt się nie obejdzie przy czytaniu Platona, gdyż znajdzie w nim nietylko tłomaczenie, ale komentarze, krytykę i ustalenie tekstu.

Z tych powodów wątpimy, ażeby *Biblioteka filozoficzna* prof. Struvego zrobiła drugi krok, jeżeli doświadczeniem pierwszego kierować się będzie.

LIBERUM VETO.

Koniugacya dnia. — Meiningerzy i ich wielbiciele. — Szkoła dla dramaturgów i aktorów. — Jowisze i woły. — Nadzieja *Tygodnika ilustrowanego*. — Kto się zmienił. — Unieważnienie spadku i śmiała chciwość.— Wojna marynarska i jej rezultaty.

Koniugacya słowa: *być* wyraża się obecnie tak.

Czas teraźniejszy: Jestem dziś na Meiningerach.

Przeszły: Byłem na Meiningerach.

Przyszły: Będę na Meiningerach.

Jest to dziś koniugacya przyzwoitych warszawiaków wszelkiej gildyi umiejących i nieumiejących po niemiecku. Niektórzy sprawozdawcy z dumą spoglądają na pełną salę Teatru Wielkiego i oblężoną kasę, mówiąc: jak my umiemy cenić sztukę! Ile pomiędzy tymi „umiejącymi cenić sztukę" jest prawdziwych jej wielbicieli, orzec ściśle nie mogę; wiem tylko, że jednemu z tych, którzy mdleją w zachwycie nad Meiningerami, najbardziej podobały się dwa krzesła złocone w komnacie Cezara, drugiemu obłoki podczas burzy w pierwszym akcie, a trzeciemu —przeciągłe fiuuuu!, naśladujące świst wiatru. Że Shakespeare, który miał się ukazać publiczności w całej pełni, objawił się tylko bardzo szczupłej garstce — to dla mnie jest niewątpliwem. Większość podziwiała dekoracye, światła dzienne i nocne, oraz umiejętną organizacyę scen zbiorowych. To też z pobytu Meiningerów dla naszego świata mody i szyku, który głównie zdobywał bilety, spodziewam się pożytku niewiele, zwłaszcza, że świat ten przeważnie nie rozumie po niemiecku. Ale sądzę, że literacki i aktorski odniesie korzyść. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby Rada dobroczynności publicznej zakupiła potrzebną ilość miejsc w teatrze na występy Meiningerów i rozdała je naszym dramaturgom oraz aktorom. Pierwsi uwierzyliby może, że jest sztuka niezależna ani od „kwestyi bieżącej," ani od udziału w niej Królikowskiego, Modrzejewskiej, Wisnowskiej, Ładnowskiego itd., drudzy zobaczyliby, jak to należy uczyć się roli, opracowywać ją w szczegółach i tworzyć harmonijną całość.

Bo zaiste, szczególna to drużyna!

Pomijam, że ze swej sztuki zrobiła kult, że ścisłość w dramatach historycznych posuwa aż do drobiazgów archeologicznych, że jej opiekun książe Jerzy podobno każe odbywać odległe podróże dla pozyskania modelu do jednej kryzy — ale, co dziwniejsze, rzesza to karna i nie zna ról „krzywdzących szanującego się artystę!" Tam niema zwyczaju, ażeby panna Eliza odmówiła przyjęcia roli w sztuce, w której gra, grała poprzednio lub grać ma panna Tekla. W zwykłych towarzystwach teatralnych reżyser może ode-

brać taki bilecik: „Szanowny Panie. Czyś pan zwaryował? Powierzasz mi rolę, w której muszę występować tylko na początku dwu pierwszych aktów w jednej sukni? Ani myślę!“ Meiningerzy takich liścików nie pisują. Nie znają oni również wielu innych kłopotów. Przychodzi komuś (o niech nikomu nie przychodzi!) nieszczęśliwa myśl napisania dramatu, w którym na chwilę pojawia się — Darwin. Przemawia on tylko parę słów i znika. Nasza reżyserya nie ośmieli się powierzyć tej postaci zdolnemu artyście. Wyciągnie jakiegoś specyalistę od znoszenia dobitnych objawów gniewu hrabiów i margrabiów, włoży mu na nos okulary a na głowę perukę z łysiną — i będzie Darwin, który zamiast: „walka o byt“ na pierwszem przedstawieniu, nie dosłyszawszy suflera, wykrzyknie: „mleko i byk!“

Meiningerzy są miniaturą geniuszu niemieckiego, jak go określił Goethe — cierpliwości połączonej z pracą, uderzającej i w dziełach uczonych badaczów i w musztrach pułków pruskich. Ich talenty nie wiele wznoszą się po nad miarę średnią, a Dawisonom i Rossim ledwie dorastają do kolan. Nadto styl gry tych aktorów jest nieco przestarzałym, akademickim, zamkniętym w uroczystej deklamacyi i klasycznych pozach, właściwszym może dla teatru z czasów Cezara, niż dla tragedyi Shakespeare'a *Juliusz Cezar.* Każdy z nich układa się, jakby służył za model do starożytnej rzeźby, a mówi, jak gdyby czuł, że głos jego przez 20 wieków brzmieć będzie. Ale ileż tam w przeprowadzeniu każdej roli i połączeniu ich pracy, jaka sumienność, jaka baczność, ażeby najostatniejszy figurant uczestniczył w ogólnym ruchu akcyi! Te przymioty tworzą z Meiningerów szkołę, pouczającą dla narodów, które zdobywają się od czasu do czasu na wielkie talenty aktorskie, ale nie mają nigdy porządnego teatru.

Ale dosyć tych uwag, bo zaczynamy worywać się w pole naszego sprawozdawcy teatralnego, który zapewne głos w tym przedmiocie zabierze.

No, ale już wyjdźmy z teatru.

Tygodnik ilustrowany, zastanawiając się nad artykułem naszym „Powrotna fala,“ broni nas przeciwko posądzeniu o wędrówkę do Kanossy, ale zarazem przypuszcza, że *„odtąd* organ postępu umiarkowaniej sądzić będzie dotychczasowych przeciwników i że na miejscu gorących i bezwzględnych potępień postawi szlachetną i rozumną tolerancyę.“ *Odtąd* nic się nie zmieni w *Prawdzie* — chyba to, że kronikarz *Tygodnika* zacznie ją czytać. Gdyby ją przeglądał dawniej, wiedziałby, że od początku postawiliśmy na jej czele zasadę, którą teraz powtórzyliśmy ze szczególnym naciskiem. Już w numerze 7 z r. 1880, mówiąc o „Krzywym liberalizmie,“ pisaliśmy: „Najliberalniejszy żywioł, jeśli będzie bezwzględnym stanie się tyrańskim. Robespierre nie różnił się wcale od Filipa II. Czy każemy wieszać jednych za to, że się modlą, czy drugich za to, że się nie modlą — wszystko jedno. W obu wypadkach gwałt pozostanie gwałtem, tylko postać zmieni się. Cokolwiek byśmy sądzili o obrzędach religijnych, skoro one dla milionów ludzi stanowią zaspokojenie niezbędnych potrzeb wewnętrznych, mają w nich racyę swojego bytu. Nic to nie znaczy, że one jej nie mają w naszych. Chór kontrabasów przy ołtarzu włoskiej katedry może być niższym rodzajem muzyki, niż symfonia odegrana przez orkiestrę; czyż jednak to upoważnia orkiestrę do nakazania milczenia kontrabasom? Chociażbyśmy nawet woleli widzieć w ręku każdego księgę rodzaju Darwina, niż księgę rodzaju Mojżesza, nie powiśmy ostatniej siłą wytrącać z rąk wiernych.“

Tak rozumowaliśmy przed czterema laty i z tego stanowiska broniliśmy zawsze katolicyzmu, nie przestając wszakże sprawiać głębokiego zmartwienia *Przeglądowi katolickiemu* i jego dziennikarskiej owczarni, której nienasyconego głodu prawomyślnością bezwzględną zaspokoić nie mogliśmy. Wskazując obecnie na „powrotną falę,“ zaznaczamy zwrot w społeczeństwie, ale nie w naszem piśmie, które nigdy nie było ciasną szparą dla oczu jakiegokolwiek, a więc i liberalnego sekciarstwa, które nie monopolizuje dla żywiołów sobie sympatycznych ani swobody, ani sprawiedliwości, ani tolerancyi.

Nie mamy tej tolerancyi naturalnie dla wielu sądów i objawów lichego powodzenia i szkodliwego wpływu, nie mamy jej również dla wielu burzycieli testamentów. *Kuryer codzienny* donosi, że jakiś zacny obywatel chce pozbawić spadku bratanka, którego ojciec skazany był na pozbawienie praw stanu i osiedlenie. Tutejsi adwokaci, którym łakomy stryjaszek chciał powierzyć sprawę, odmówili podobno swej pomocy; sięgnął on tedy po obronę dalej. Ze wszystkich właściwości natury ludzkiej najodważniejszą jest chyba chciwość: bywa ona zuchwalszą niż męstwo, poświęcenie, nienawiść. Życzę jej zawsze i w obecnym wypadku losu Ugolina.

Pewien szlachcic płocki postanowił szukać szczęścia w wodzie i zbudował sobie statek „Mazur,“ na którym przewozi podróżnych z Warszawy do Płocka. Ponieważ na Wiśle panował dotąd niepodzielnie jedyny właściciel floty p. Fajans, rozpoczęła się tedy walka naprzód na taksy, z czego publiczność skorzystała, a później na statki, z czego korzystać nie może. Bo jeśli napastniczy ferwor w zaczepkach, szturchnięciach itp. ukrócony nie będzie, możemy na małą skalę doczekać się wypadku z Cymbryą.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Z dziedziny wyzysku.—Trzy jego rodzaje: wyzysk żydowski, wyzysk chrześciańsko-polski i wyzysk asekuracyjno-patryotyczny.

Rozwój przemysłu krajowego i dobrobyt włościan—to dwie podstawy, na których opieraliśmy pomyślność ekonomiczną społeczeństwa, w ostatnich latach stają się coraz bardziej wątpliwemi i, jeżeli stan rzeczy nie zmieni się, może zaliczone będą niedługo do szeregu złudzeń, z których po kolei życie nas obiera. Wiemy, jak ogólne przesilenie ekonomiczne odbiło się na naszym przemyśle, ale nie możemy przypisać tej przyczynie faktów, o których coraz częściej otrzymujemy wiadomości z prowincyi. Od uwłaszczenia minęło już lat dwadzieścia, ludność wiejska powiększyła się znacznie, a tymczasem ziemi przybyło bardzo niewiele, w porównaniu zwłaszcza ze wzrostem zaludnienia. Już w 1864 r. liczono tylu bezrolnych, że spora część ich nie mogła znaleść stałej pracy w folwarkach i zmuszona była żyć z codziennego wyrobku, na komornem, w cudzej izbie. Masa ta rolników bez ziemi wynosi dziś już około 2 milionów głów. Szczęśliwsi z pomiędzy nich, którzy dorobili się trochę grosza, kupują a raczej kupowali sobie kawałek gruntu na starość. Dziś w Królestwie odstręcza ich wysoka cena ziemi. Ponieważ jednak ziemia jest jedynym warsztatem, na którym chłop wyrobić sobie może kawałek chleba, więc też pomimo wygórowanej ceny stara się ją nabyć w jakikolwiek bądź sposób. W usiłowaniach tych spotyka on współzawodnictwo posiadaczy, dla których dotychczasowe działki są już zbyt szczupłe. Obie kategorye nabywców szukają tedy pomocy kredytu, o którego błogich skutkach zapewne nic nie wiedzą, ale z potrzeby uciekać się doń muszą.

Gazeta warszawska w korespondencyi z Lubelskiego, szczegółowo opisuje manipulacye tego rodzaju. Spekulant dopożycza nabywcy potrzebną sumę, oplatając go niepodobnemi do wykonania zobowiązaniami. Wyciągnąwszy na rachunek ulg i prolongat, co się da, subhastuje nieszczęśliwą ofiarę, pozostawiając przy gruncie pożyczoną sumę, poczem powtarza za lat parę tę samą operacyę z drugim nabywcą—itd. Dla większej pewności wymaga on nieraz jeszcze poręczenia ze strony krewnych lub sąsiadów, na wypadek, gdyby szacunek otrzymany przy sprzedaży przymusowej nie pokrył całej wierzytelności. Zręcznie manewrując, lichwiarz wciąga z czasem i nieopatrznych poręczycieli do zastawionej łapki.

Kto badał prawa rozwoju naszego społeczeństwa, wie, że tym spekulantem musi być zawsze prawie żyd. Dlaczego konieczność socyologiczna wymaga, żeby wyzyskiwaczem w danym wypadku był żyd, to inna kwestya, której na razie poruszać nie będziemy, ale sam fakt nie ulega zaprzeczeniu. Chłop, który na skórze swej czuje wyzysk, chociaż nie zdaje sobie sprawy z jego przyczyn, szuka sposobów pozbycia się natrętnych pasorzytów. Najlepszym środkiem jest dlań poprostu wypędzenie żydów. Trudno wymagać, żeby chłop polski był rozumniejszy od redaktorów niektórych pism, którzy także na inną radę zdobyć się nie potrafią.

W gminach Rzeczniów w Radomskiem i Złotniki w Kieleckiem włościanie na zebraniach gminnych uchwalili wydalenie żydów ze wsi i nałożenie wysokiej kary na tych chrześcian, którzy wynajmą im mieszkanie. Uchwała ta wywołała poklask „konsula od żydków“—na nieszczęście jednak jest ona bezprawną i dla tego nie może wejść w wykonanie. Ale gdyby nawet liczyć można było na pomyślny skutek, to w rezultacie przeniesie ona żydów ze wsi do miasteczek, co bynajmniej nie przeszkodzi im prowadzić dalej swego procederu lichwiarskiego, tylko że już wtedy doliczać będą większy jeszcze procent „na koszta.“

Pasorzyty lęgną się i mnożą tylko na słabem ciele, lichwa i wyzysk dają się najbardziej we znaki społeczeństwom biednym, niezaradnym. Dzisiaj u nas głównie żydzi pełnią funkcyę wyzyskiwaczy ciemnych mas, ale już i z szeregów gminu wysuwają się coraz częściej jednostki, które wypierają izraelitów z ich uprzywilejowanego stanowiska. Do współzawodnictwa w eksploatacyi ludu idą o lepsze z żydami i przedstawiciele klas wyższych—ziemiaństwa. Czem że, jeżeli nie najstraszniejszą lichwą, jest fakt, o którym pisze również *Gazeta warszawska.* W okolicach, gdzie znajduje się znaczny procent ludności bezrolnej, „spotykamy teraz wyrobników, odrabiających dwa dni tygodniowo za jedną izbę i utrzymanie krowy na oborze.“ Dwa dni! Ja znam takie majątki, w których odrabiają za to po trzy, a przez drugie trzy dni komornik obowiązany jest iść do roboty za cenę, jaką dwór wyznacza, chociażby trafiał mu się wtedy zarobek daleko korzystniejszy. Dla słuszności dodać należy, że warunki życia komorników chłopskich są bodaj jeszcze cięższe.

Sądzę, że ci pomysłowi ziemianie i ci zamożni gospodarze, którzy trzymają na komornem wyrobników, nie potrzebują brać lekcyi wyzysku od żydów. Dzisiaj już działają oni tak skutecznie, że wywołali oburzenie nawet w *Gazecie warszawskiej.* Antysemityzm nasz, któremu w gruncie rzeczy chodzi wcale nie o wytępienie eksploatacyi, ale o zapewnienie przywileju jej chrześcianom, o faktach takich zwykle milczy.

Wobec powszechnego wyzysku, maskowanego jedynie różnemi nazwami, przyjemnie jest zaznaczyć usiłowania poczciwe, które chociaż nie wiele pomogą, bo są tylko najzwyczajniejszymi półśrodkami, świadczą jednak o dobrem sercu i dobrej woli w tych warunkach, w których rzadko przymioty te znajdujemy. W Kutnowskiem pewien obywatel założył dla służby coś w rodzaju kasy oszczędności. Każdy uczestnik wnosi rubla rocznie, tyleż dodaje z własnej kieszeni chlebodawca. Suma zebrana w ten sposób wypożycza się na 6% i po 6 latach każdy ma prawo, rzucając służbę, otrzymać całkowity udział z procentami, wcześniej zaś tylko swój własny wkład. Dla zwiększenia funduszu na rzecz jego idą wszelkie kary pieniężne za niedbalstwo i tym podobne przekroczenia. Składka jest bardzo niewielka, więc też po najdłuższej służbie otrzymana suma nie zapewni jeszcze bytu pracownikowi, ale bądź co bądź nie zostanie on bez grosza na starość. Dobry przykład p. Z. znalazł już podobno kilku chętnych naśladowców. Nie należy przeceniać go, gdyż jest on tylko spełnieniem obowiązku, i to jedynie w pewnej mierze, ale w społeczeństwie, w którem rzadko kto swoje obowiązki spełnia—i to już coś znaczy.

Półśrodkami również są kółka ziemiańskie wzajemnych ubezpieczeń od ognia, zawiązane w celu uwolnienia się od wyzysku towarzystw prywatnych. Bardziej pożądanym bezwątpienia byłby monopol asekuracyjny państwa, z uwzględnieniem zasady zwrotów; ale nawet i obecnie istniejące półśrodki wywarły już dobry wpływ na... towarzystwa. Oto np. dyrektor Warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń p. K. Górski w sprawozdaniu swojem nadrabia miną i twierdzi, że chętnie bardzo widzi rozwój kółek ziemiańskich, zaprasza więc je do związku z Towarzystwem, chociaż temu ostatniemu stosunek ten na dzisiaj przynosi tylko straty. Ziemianie lubelscy na zasadzie umowy otrzymali 50% zwrotu składek przez nich niszczonych. P. Górski w imieniu Towarzystwa „cieszy się z takiego rezultatu“ i pomimo że przewiduje dla instytucyi straty ze stosunku z kółkami, namawia je wszakże do reasekuracyi. Bodaj to szlachetna wspaniałomyślność przedstawicieli kapitału, która dla dobra ogólnego gotowa dopłacać z własnej kieszeni! Mówca jednak w dalszym ciągu wygrzebuje zakopanego głęboko psa, któremu na imię — współzawodnictwo. „Chwilowo i przez współzawodnictwo może wprawdzie towarzystwo sprobować tej drogi— dodaje on—żeby nie pozbawić się pożądanych dla nas klientów, ale utrwalić stosunku takiego nie może.“ W tym względzie ma ono zupełną słuszność, więc też kółka ziemiańskie nie mogą liczyć na przychylność instytucyj akcyjnych. P. Górski przewiduje, że z czasem utworzą kółka wzajemny związek rolny, reasekurujący się w „towarzystwie krajowem“ (czytaj Warszawskiem); chociaż ja sądzę, że mogłyby się zupełnie obejść bez tego, gdyby potrafiły prawnie utrwalić swe istnienie. „Obniżenia taryfy“ lub „przyznania rabatu“ Towarzystwo Warszawskie pragnęłoby uniknąć, ponieważ ustępstwa te nie są oparte na ogólnym rachunku (?), ani usprawiedliwione doświadczeniem, przewiduje jednak, że te argumenty mogą nie trafić do przekonania ziemian, odwołuje się więc do uczuć podniośliejszych:

„Mimo to jednak, gdyby takie pojmowanie (żądanie obniżenia taryfy i innych ustępstw) w obywatelstwie ziemskiem przeważyło, Towarzystwo Warszawskie, zniewolone koniecznością i dla utrzymania w swem gronie tych ubezpieczonych, którzy dotychczas darzyli je swem zaufaniem, nie mogąc wreszcie dopuścić wypierania siebie przez obce kompanie, z okolic, które uważa za przyrodzony obręb swej działalności, gotowe byłoby liczyć się z przeważającem usposobieniem i życzeniami, i przystać sposobem próby na tego rodzaju układy.“

Niebezpieczeństwo musi być wielkie, kiedy już patryotyzm wchodzi w grę, bo tego rodzaju reklamy używają u nas tylko bardzo niepewne przedsiębiorstwa. Wątpię, czy kółka ziemiańskie dadzą wziąść się na ten haczyk, ale nie powinny znowu przeceniać swego położenia i lepiej będzie, jeżeli zachowają rozsądne umiarkowanie. Bo potrzeba przypomnieć sobie, że towarzystw akcyjnych jest bardzo nie wiele i dotychczasowe współzawodnictwo ich łatwo przejść może w zmowę. Straty materyalne zmieniają do niepoznania pojęcia o swojem i obcem, pod ich działaniem „przyrodzony obręb“ wyzysku rozszerza się lub kurczy. Patryotyzm instytucyj finansowych nie ostoi się przed rublem, nie o niego zresztą chodzi zarówno nam, jak i stowarzyszonym, którym zapewne wszystko jedno, kto ich obdziera: swój czy obcy, byleby tylko brał jak najmniej. Nie należy więc zbytnio naprężać struny, żeby nie pękła, nie należy zmuszać Warszawskiego Towarzystwa do wyrzeczenia się tych szlachetnych uczuć, jakie ustami p. Górskiego wygłasza.

J. Nieborski.

Płock. Zorganizowało się tu na wzór warszawskiego miejscowe Towarzystwo wioślarskie.

Łódź. Przy fabrykach Scheiblera otwartą została biblioteka dla użytku uczniów dwóch szkół fabrycznych i robotników miejscowych.

Brzeziny. Otwarty został szpital, którego brak dotkliwie uczuwać się dawał niezamożnej ludności.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 13 maja.

W ciągu ubiegłego tygodnia położenie rzeczy nie zmieniło się wcale. Rozstrzygnięcie polubowne zatargu anglo-rosyjskiego nie postąpiło ani na krok naprzód, ale usposobienie pokojowe trwa ciągle. Spór przechodzi powoli na łamy dzienników, staje się coraz bardziej teoretycznym, jak np. oświadczenie Salisbury'ego w parlamencie o warunkach neutralności Dardanellów, na które cierpko odpowiedział *Journal de St. Petersbourg*: „wszystkie te papierowe kłótnie — to najlepsze oznaki pokoju.

Generał Komarow przysłał z raportem pułkownika Zakrzewskiego, który wyjaśnił, że powód do walki dali afganowie, podburzeni przez anglików. Generał Lumsden powołany został do Londynu i podobno podaje się do dymisyi. Zdradzają również niezadowolenie sfery rządzące w Indyach, które stanowczo pragnęły wojny.

Rozjemcą w sporze, jak już pisaliśmy poprzednio, ma być król duński, chociaż co do tego niema jeszcze oświadczenia urzędowego; możliwem jest, że rzecz cała da się załatwić nawet bez pośrednictwa osób trzecich. Warunki, jakie stawiają obie strony, nie są wiadome; Anglia, która już ustąpiła na tylu punktach, ma podobno żądać deklaracyi, że Rosya nie zajmie Heratu; ale o ile sądzić można z głosów prasy rosyjskiej przyrzeczenia takiego nie otrzyma.

Wobec takich kłopotów położenie gabinetu Gladstone'a jest dosyć wątpliwem, usunięcie się jego utrudniłoby niezmiernie rokowania z Rosyą, zwłaszcza teraz po świeżem, wojowniczem wystąpieniu przywódcy torysów Salisbury'ego. Ponieważ jednak parlament nie życzy sobie wojny, nie odmówi więc poparcia Gladstone'owi i jego polityce.

Uzbrojenia i przewóz wojsk do Indyi zostały przerwane, równocześnie postanowił rząd angielski wyrzec się wyprawy na Chartum i odwołać wszystkie wojska z Sudanu, ponieważ zaś Egipt nie posiada dostatecznych sił dla przywrócenia tam porządku a nawet dla zabezpieczenia swych granic, prawdopodobnie więc miejsce anglików zastąpią wojska włoskie.

Z kłopotów Anglii skorzystały na razie Niemcy i zawarły pomyślny dla siebie układ, dotyczący kolonij na oceanie południowym. Granice posiadłości dwóch państw zostały w przybliżeniu oznaczone, określono wzajemne ich stosunki, słowem Niemcy stanęły pewną nogą w Australii.

Umowa Prus z Rosyą o wzajemne wydawanie sobie przestępców ma być zastosowaną do całych Niemiec i w tym celu przedstawiona została do zatwierdzenia Radzie związkowej, a obecnie sejmowi. Bawarya wystąpiła z protestem, oświadczając, że pragnie pozostać przy warunkach dawnej, oddzielnej umowy z Rosyą.

Książę Piotr Karageorgiewicz, syn zmarłego niedawno Aleksandra, ożeniony z księżniczką czarnogórską, postanowił wydać manifest do narodu serbskiego, wzywający go do powstania przeciw dynastyi Obrenowiczów.

W Macedonii, na granicy bulgarskiej zjawiło się kilka band powstańczych a właściwie rozbójniczych, które stoczyły kilka pomyślnych walk z żandarmeryą turecką. Ruch ten niema wszakże szerszego znaczenia.

Francuzi zaledwie wybrnęli z kłopotu w Tonkinie, mają znowu inny — w świeżo przyłączonej Kambodży; wybuchło tam bowiem powstanie, o którem dotychczas niema jednak jeszcze dokładnych wiadomości.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Prawit. Wiest. ogłasza takie oświadczenie urzędowe:

„Po przyłączeniu chełmskiej dyecezyi unickiej do cerkwi prawosławnej w r. 1875, powstała kwestya co do rozstrzygania sporów o należenie do jednego lub drugiego wyznania osób nawróconych z unii do kościoła łacińskiego. Z mocy Najwyższego rozporządzenia dnia 23 stycznia (4 lutego) 1882 r., sprawy podobne oddano pod rozpoznawanie i wyrok władzy eparchialnej warszawsko-chełmskiej, w razie zaś niezadowolenia petentów z wyroku, skargi mogą być podawane do najświętobliwszego synodu. Napływające następnie do wydziału duchownego liczne prośby byłych greko-unitów, przeważnie ludzi prostych i nie umiejących pisać, ażeby im dozwolono należeć do wyznania rzymsko-katolickiego wywołały powątpiewanie, czy rzeczywiście prośby te są wyrazem osobistych życzeń i przekonań petentów i czy pochodzą od osób, w których imieniu je podawano. Jakoż co do niektórych z tych próśb, skomunikowano się z właściwemi władzami cywilnemi, ażeby zarządziły dochodzenie, a osiągnięte wiadomości wyjaśniły, że takie prośby częstokroć bywają układane i pisane w imieniu petentów przez osoby sztucznie podniecające ich do podawania próśb, a niekiedy bywają nawet podawane bez zgody i wiadomości petentów.“

Organ urzędowy przytacza 5 przykładów takich zbiorowych podań od wielu wsi

w gub. siedleckiej i lubelskiej; autorowie próśb tych dotychczas nie zostali wykryci.

O PRAWDĘ.

(Odpowiedź na oceny mej książki *O początku rozwoju umysłowości w przyrodzie*).

II.

Pan D. zarzuca mi następnie, że zamiast gatunku wprowadzam pojęcie *osobnika odwiecznego* w przyrodzie i że tym sposobem staję się powodem niepotrzebnego zamętu. Zdaje mi się jednak, że tego bez ważnej nie zrobiłem przyczyny. Powiedziałem bowiem jak najwyraźniej w mojej książce, że rozpatrując się w żywej przyrodzie, napotykamy w niej same osobniki doczesnie istniejące, których byt zawiera się pomiędzy ich urodzeniem a śmiercią. Pojmujemy je więc jako odrębne całości, pooddzielane nietylko od tego, co je otaczało, ale zarazem od wszystkiego, co je poprzedziło i co po nich nastąpi. A jednak żadnego do tego nie mamy prawa, bo przecież żaden organizm żyjący nie daje się oddzielić od swego zarodka, a ten zarodek znów jest wspólną i niezbędną częścią tak dobrze macierzystego, jak i synowskiego ustroju. Rodzice więc i dzieci jedną i nierozdzielną stanowią organiczną całość. Możemy ich wprawdzie w codziennym poglądzie myślą pooddzielać od siebie, ale żeby rzeczywiście miały stanowić oddzielne istności, tego nam ścisła logika faktów przyjąć nie pozwala. I owszem, każdy obecnie uznany *osobnik oddzielny* jest li tylko ogniwem organizmu istniejącego od wieków, który w przebiegu czasu zmienia swą formę bytu, i raz się okazuje w postaci swego zupełnego rozwoju, a drugi raz znowu w formie zarodka. Że zaś forma nie stanowi treści, wyraz zatem: *osobnik*, wiele biorąc, nie może się odnosić do czasowej tylko postaci, ale raczej do owej nieśmiertelnej istności, która w pomroce wieków powstała, żyje i żyć będzie na wieki, stosując się do ogólnego istotom żyjącym przepisanego prawa—przechodzenia w stałych odstępach czasu od *minimum* do *maximum* rozwoju. Wszakże to nie jest teorya, ale proste opisanie faktu oczywistego, z którym się filozofia przyrody rachować powinna, a jeżeli w obecnym stanie zapatrywania się na rzeczy musi jej być z tem niewygodnie, to już nie moja w tem wina. Fakt ten ma jednak niemałe swoje znaczenie: zamiast bowiem oderwanego pojęcia, jakiem jest *gatunek*, daje nam *rzecz*, przenosi nas z filozoficznej do fizyologicznej sfery, przedstawia nam organizm żyjący pod formą odwiecznego bytu i pozwala nam pojąć *dziedziczność* i *zmienność* w gatunkach, jako dwie konieczności indywidualnego istnienia. Jeżeli więc z jednej strony wprowadza zamęt, to z innej znów strony może być bardzo pożytecznym. Pan *D.* zarzuca mi tutaj, że z organizmu macierzystego powstają nieraz potomstwa tysiące (np. u ryb) i że chyba by przyjąć wypadało, że się osobnik odwieczny na tysiące rozdziela. Ale jeżeli pan *D.* zwróci na to uwagę, że w owym łączniku, który rodziców z potomstwem zespaja, leży li tylko jedna maleńka zarodkowa komórka, która jednak mieści w sobie cały kodeks, wedle którego ma się następnie całe ciało składać i wszystkie z niego wypłyną czynności, tak samo zupełnie jak było w całym szeregu poprzednich generacyj, i że ta mająca powstać istota musi znów taki sam kodeks dla następnego plemienia przepisać i znów go w każdą swoją ułożyć zarodkową komórkę—to pewnie podział na części indywidualności odwiecznej na myśl mu nie przyjdzie. A że taka księga przeznaczeń istnieje w każdym organicznym zarodku, dowodzi nam samodzielny i zawsze jednaki rozwój doczesnego osobnika w każdym gatunku. Jest tam wyraźnie złożony zaczyn na kształty, jakie ma przybrać z zewnątrz przybywające tworzywo, a co więcej, tenże sam zaczyn tkwi nie tylko w owym zarodku, ale i w każdej innej komórce składającej osobnicze ciało, byle tylko nie zanadto została zmienioną w swojej organizacyi przez wpływ centralizacyi. Wszakże z pokrajanej na kawałki Hydry powstają nowe takie same zwierzęta, a z każdego pączka jabłoni cała się jabłoń przez oczkowanie rozwija. Tenże sam zatem duch organiczny, który całość ożywia, skupia się zarazem w każdej pojedynczej cząsteczce, a ponieważ każda komórka, sama uważana w sobie, oddzielnym jest osobnikiem i oddzielnym członkiem rodziny, przez zarodkową komórkę zrodzonym, jakże więc inaczej objaśnić sobie zgodność pożycia owych miliardów indywidualności w jednym zbiorowym osobniku żyjącym, jeżeli nie przez jakąś umysłową spójnię wiążącą je ze sobą.

Gdyby panowie filozofowie chcieli być sami obserwatorami przyrody i zaczerpywać swoje natchnienia z jej żywego źródła, zamiast je brać z drugiej ręki za pośrednictwem zadrukowanego papieru, to dopatrzyliby się bez zaprzeczenia rzeczy, które by nieraz pokrzyżowały ich przekonania. Dostrzegli by tam może coś, co zakrawa na *psychologię przyrody* i przeczuli by może, że ona kiedyś, a może niedługo, obecny materyalizm dopełni i zmieni. Ale to są zadania przyszłości, o których obecnie lepiej jeszcze nie mówić.

Mam to przekonanie, że rozwój genetyczny i osobniczy, że osobniczy egoizm i altruizm organicznej komórki nie zwrócił jeszcze na siebie należytej uwagi naszych myślicieli, i że nie skorzystano jeszcze z ogromnego materyału nagromadzonych przez obserwacyę. Samodzielne i celowe przemiany komórek i różne stopnie centralizacyi i przewodnictwa ogólnego zarządu, ujarzmiającego pojedyncze składniki na korzyść ogółu—to olbrzymi fakt, który mechanicznie w żaden sposób objaśnić się nie daje, a co więcej, jest wyraźnie źródłem, z którego każdy mechanizm organiczny wypływa. Wszystko, co o tem powiedział Haeckel i Herbert Spencer, nie jest li tylko czczem porównaniem z ludzkim towarzyskim stosunkiem, ale głęboką w sobie prawdę zawiera. Każdy, kto się bezstronnie na cele te gospodarstwa własnemi zapatrywał oczyma, kto je nietylko w bibliotekach, ale i w pracowniach badał, ten pewnie przyzna, że to samo widocznie, co ludzi między sobą bezwiednie kojarzy w towarzyskie grupy, kojarzy także i komórki w organizmy życia, i że *fatum* przyrodnicze i *fatum* socyalne z jednego wypływają źródła. Niechaj pan D. raczy to moje przekonanie uwzględnić a wiele szczegółów w mej książce jaśniej mu się przedstawi, i przekona się zarazem w jak fałszywem stawia ją świetle oddzielenie w niej przez krytykę jej filozoficznej treści od jej przyrodniczej zasady.

Szanowny sprawozdawca robi mi zarzut następnie, że w moich o instynkcie uwagach nie uwzględniłem teoryi ewolucyonistów, poczytujących instynkt za rodzaj pamięci gatunku, i mówi, że to są rzeczy, które są chyba autorowi rozwoju umysłowości wiadome. Otóż ośmielam się odpowiedzieć na to, że właśnie, iż mi są wiadome, nie mogę im przyznać wielkiej doniosłości, raz dla tego, że nie ogarniają wszystkiego, co pod mianem instynktu się mieści, a powtóre, że należało by je rozciągnąć aż do roślinnego świata, któremu przecież pamięci nikt nie przypisuje. Teorya wrodzonej pamięci polega wyraźnie na pojęciu Platona o przypominaniu sobie ideałów z poprzedniego życia i opiera się głównie na uderzających faktach z życia owadów, gdzie obyczaje w gatunkach są stałe, pomimo że generacye nie łączy się bezpośrednio ze sobą, i gdzie przez porozumienie się nie może utrwalić się tradycya. Jedwabnik np. oprzęda się zupełnie tak samo, jak jego przodkowie, chociaż gdy z jaja się wylągł, żadnego już z nich na świecie nie było. Inne owady budują gniazdo dla swego potomstwa, ubezpieczają je starannie od przygód zawsze w jednaki sposób, składając w nie jaja a obok nich pokarmowe zasoby dla mających wylęgnąć się młodych, potem umierają, a następne generacye postępują tak samo—chociaż swych rodziców nie znały.

A więc pamięć sięga do przeszłych pokoleń i przechowuje się w jaju. Jeżeli się jednak zapatrzymy na to, że i roślina robi to samo, a może i więcej nawet, że jej zarodek w nasieniu zaopatrzony również w mączkę, cukier lub olej do wykarmienia powstającej roślinki, że także buduje dla niego ochronę w kształcie pestki lub łupinki, a nadto wytwarza na niej mięsisty owoc, ażeby użyźnić ziemię, w której się ma później roślinka rozwijać, że nasiona opatruje skrzydełkami, parasolikami, watą itp., ażeby się rzadko rozsiewały w przestrzeni, to czyliż i to wszystko mamy przypisać wrodzonej pamięci? Zresztą przyczyny uderzających faktów tego rodzaju powinny być przedewszystkiem oparte na długich szeregach skrupulatnych badań, a nie na wymyślaniu przy zielonym stoliku, wtedy bowiem dopiero mogą mieć prawo do przyrodniczego uznania. Co się zaś samego instynktu tyczy, to na nieszczęście jest to rzeczywista otchłań, do której powrzucano wszystko, czego się nie rozumi w postępowaniu własnem i zwierzęcem—a Bóg wie, czego tam razem nie znajdziesz: np. czynności organiczne bezwzględnie od kształceń przyrządów zależne, refleksy proste i złożone ruchy automatyczne i rutyniczne, popędy wrodzone, przeczucia, przewidywania itd. Otóż pragnąc w ten zamęt jaki taki wprowadzić porządek, uznałem za instynktowe te tylko czynności, czy to cielesne czy umysłowe, które się do bezwiednego procesu myślenia bezpośrednio odnoszą, i przyznaję, że myśl tę Hartmannowi zawdzięczam, pomimo że z tym filozofem artylerzystą wcale nie sympatyzuję.

A teraz jeden jeszcze zarzut, z którego dobrze nie umiem sobie zdać sprawy. P. D. zdaje się mieć mi to za złe, że mój rozwój umysłowości w przyrodzie oparłem na popularnej teoryi prostych władz umysłowych, na takiej, jaka wyszła u nas z pod pióra Jana Śniadeckiego. Wszakże dla popularnego mojego wykładu nie mogłem się oprzeć na mapkach Bain'a albo Spencera, oznaczających strategiczne trakty, po których myśl ludzka ma krążyć. A zresztą, czemże jest owa stała nasza psychologia, jeżeli nie usystematyzowaną li tylko fenomenologią umysłu ludzkiego, a ta zdaje się, że na wieki jednaką zostanie, tak jak podział naprzykład państwa roślinnego na rodziny pomimo wszelkich postępów fizyologii roślinnej. Zdaje mi się, że obecnie przynajmniej nie podobna jest użyć innej zasady do budowy psychologii porównawczej, bo z czemże porównywać zwierzęco-umysłowe przejawy, jeżeli nie z tą ludzką, od wieków przez obserwacyę ustaloną normą; a że przy zbadaniu pudla albo cietrzewia rozum jego np. okaże nam się obok ludzkiego o wiele inaczej, że go oznaczyć wypadnie innym jakimś odcieniem i nowy jakiś na niego wynaleść wyraz, to więcej jak pewna, ale do tego nie dojdzie się pewnie drogą spekulacyi filozoficznej, tylko drogą badania obyczajów zwierzęcych i nader ostrożnego ich wyzyskiwania na rzecz psychologicznej nauki. Na to są dziś akwarya, zoologiczne ogrody i przyrodnicze podróże, do tego

prowadzi ogólna na obyczaje zwierzęce zwrócona uwaga. Ale niechaj i panowie filozofowie raczą zejść ze swoich spekulacyjnych wyżyn, do tej zabrać się roboty, zamiast ją zostawiać ludziom zazwyczaj mało filozoficznie przysposobionym, a wtedy będziemy mieli dopiero ścisłe obserwacye psychiczne, zamiast dzisiejszych anegdotek i mrzonek, na jakich się żaden poważny pogląd zbudować nie da. Wierzę, że wygodniej jest z gotowym już o szczegółach pojęciem stwarzać systematyczne całości, niżeli podpatrywać trzmiela w jego rodzinnem życiu, albo jastrzębia w jego łowach, i badać, na jakich się on to wspiera psychicznych motywach w swoich obyczajowych i doraźnych czynnościach — lecz trudno — trzeba się ująć oburącz tego trudnego zadania każdemu, komu psychologia porównawcza leży na sercu. Ani jej anatomia, ani fizyologia wyłącznie nie zbawi, bo same w swoich badaniach nad mózgiem na obserwacyi zwierzęcej umysłowości muszą się opierać, chociaż nie przeczę, że ogromną mogą być pomocą, byle tylko umiały stronić od owych nieszczęśliwych mrzonek, które tak dobrze rosną w anatomicznych i fizyologicznych pracowniach, jak i przy biórkach naszych myślicieli.

Nie skończyłbym tak rychło, gdybym inne jeszcze poczynione mi chciał odpierać zarzuty. Wszystkie one jednakże i to bez wyjątku spadły na mnie wyłącznie z filozoficznego obozu i dotykają mnie drugorzędnie tylko, jako przyrodnika. Nie dziwią mnie też one bynajmniej, gdyż filozof i naturalista rzadko godzą się ze sobą w swoich poglądach. Pierwszy bada rzeczy, drugi bada idee, pierwszy indukcyjnie, a drugi dedukcyjnie na przyrodę się zapatruje. Naturalista zarzuca filozofowi, że tonie w oderwanych pojęciach, a ten znów odpłaca mu za to wymówką, że pełza po ziemi i że swojem pojęciem nie dochodzi nigdy do systematycznej jedności. I rzeczywiście zupełna słuszność w tym względzie, bo naturalista nie mogąc inaczej, na eklektyzmie zazwyczaj filozoficznym przestaje, kiedy filozof przywykły do systematycznego myślenia wpada znowu w formułki, na które nieraz przyrodnik, a zwłaszcza biolog z poruszeniem ramion spogląda. I tak gdyby ci powiedziano naprzykład, jak mnie powiedziano, jakby z katedry, że oprócz ruchliwych atomów i mechanizmów zgoła niema nic więcej w przyrodzie, to by w twoim umyśle rozjaśniło się tak samo, jak gdyby ci orzeczono, że w piśmiennictwie wszystkich wieków i wszystkich narodów nic innego nigdy nie było, oprócz li tylko liter i rozlicznego ich skombinowania się ze sobą w wyrazach. I cóż mnie biologowi przyjdzie z takiego pewnika, kiedy mi on nie zdaje sprawy z istnienia najmizerniejszego nawet żyjątka, z jego powstawania, z jego organizacyi, z jego przywiązania do życia, z jego walki o byt, z jego rozpłodowego popędu, z jego samodzielności w działaniu, z jego umysłowego usposobienia i mnóstwa innych jego właściwości. Jeżeli więc filozof-materyalista nie może mi odpowiedzieć na te pytania, to muszę sam sobie radzić, a jeżeli zbaczam natenczas w mojem rozumowaniu z wytkniętego przez niego kierunku — to czyja w tem wina?

Dr. Szokalski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sądy. Przed izbą sądową warszawską stanął p. Derewickij, sędzia pokoju IX rewiru m. Warszawy, oskarżony o karygodne zaniedbanie obowiązków swego urzędu. Z zeznań świadków, przeważnie adwokatów a zwłaszcza z świetnej mowy prokuratora p. Wendrycha, notujemy niektóre ciekawe szczegóły. P. Derewickij w 1863 r. z ławy szkolnej wstąpił do wojska, niedługo potem został komisarzem do spraw włościańskich, później służył w zarządzie finansowym, wreszcie otrzymał sędziowstwo. Obowiązki swe spełniał niedbale, najważniejsze czynności powierzał sekretarzowi, który później dla ukrycia nadużyć podpalił kancelaryę, na rady familijne nie przychodził wcale, zdarzyło się raz nawet, że wyznaczył termin, na który zjechało się kilka osób z prowincyi, sędzia tymczasem zamknął kancelaryę (którą, nawiasem mówiąc, humorystycznie nazywał *budą*) i nie pokazał się wcale. O tym fakcie skargę podano do ministra. Prokurator zaznaczył również zarozumiałość oskarżonego, który kiedyś adwokatowi powołującemu się na przepis prawa, rzekł, wskazując palcem na czoło: „Cały kodeks Napoleona ja mam tu,“ Izba sądowa skazała p. Derewickiego na wydalenie ze służby, ale z Manifestu umorzyła mu tę karę.

Reorganizacya Banku polskiego. Według projektu ministeryum skarbu Bank polski i jego filie zamienione zostaną na kantor warszawski i oddziały banku państwa, które prowadzić będą swe czynności na mocy istniejących przepisów, z uwzględnieniem tych wyłączeń, jakie minister finansów stosownie do warunków miejscowych uzna za właściwe. Oprócz tego kantor warszawski spełniać będzie obowiązki Banku polskiego, odnośnie do wypłaty procentów i umarzania długów państwowych Królestwa, wydawania pożyczek na kupno narzędzi rolniczych i zarządzania urzędem loteryjnym. Czasowo przyjmie na siebie również likwidacyę interesów Banku polskiego i filij. Ruchomy i nieruchomy majątek Banku polskiego przechodzi na własność Banku państwa, urzędnicy zaś, którzy nie wejdą do składu zreformowanej instytucyi—spadną z etatu.

Wystawa ogrodnictwa odbędzie się od 5 do 13 września r. b. Urządza ją Towarzystwo ogrodnicze, które wydało w oddzielnej broszurce szczegółowy program. Deklaracye składać należy przed 1 lipca.

— Wystawa etnograficzna zbiorów prof. Dybowskiego ma być w tych dniach otwartą w gabinecie zoologicznym uniwersytetu lwowskiego. Katalog już w druku.

— Wystawa krajowa odbędzie się w r. 1866 w Czerniowcach. Rząd austr. przyrzekł znaczną zapomogę.

Plagiat. Jeden z autorów rosyjskich przerobił komedyę Bałuckiego *Gęsi i gąski* i wystawił ją w Petersburgu jako utwór oryginalny pod sensacyjnym tytułem *Psichopatka.*

Kolonia polska w Buenos-Ayres liczy obecnie 450 członków, posiada kaplicę i własny klub, w którym znajduje się 10 pism polskich.

Drogi żelazne. Sieć kolejowa w Rosyi zwiększyła się w ubiegłym roku o 1232 wiorsty.

Statystyka. Szkody wyrządzone w r. z. w Galicyi przez pożary wynosiły 2,378,225 złr., przez grady zaś 3,722,430 złr.

Blokada. Z powodu niskiego poziomu wody i braku wszelkiej regulacyi osiadło na mieliznach Bugu 150 barek naładowanych zbożem. Cały ten transport wynoszący około 150—180,000 korcy czekać musi do przyszłej wiosny.

Prasa. W Przemyślu zaczęły wychodzić na przemian co tydzień *Echo* i *Wieści z nad Sanu.*

Ograniczenie. W szkołach technicznych, istniejących przy drogach żelaznych, na mocy rozporządzenia władzy liczba uczniów ograniczoną została do 35 w każdej klasie.

Szkoła weterynaryi w Warszawie od wakacyi przyjmować będzie takich tylko kandydatów, którzy ukończyli gimnazyum lub szkołę realną.

Matejki *Hołd pruski* umieszczono w tych dniach w salach Muzeum narodowego w Sukiennicach. Ma tam pozostać aż do czasu odnowienia Wawelu.

Posąg Linneusza, słynnego botanika, z wielką uroczystością i festynem ludowym ma być odsłoniony dnia 13 maja w Sztokholmie.

Pożar zniszczył w Londynie do szczętu wystawę japońską. Straty oceniają na 40,000 funtów sterl.

Szkoła muzyczna w Krakowie ma wejść w życie z dniem 1 października. Rząd austr. zgodził się już na to i przeznacza na uposażenie szkoły 1500 złr. (bardzo skromnie!). Jeżeli pierwszy rok istnienia szkoły okaże, że ona odpowiada potrzebie i ma warunki rozwoju, zapomoga ma być zwiększoną.

Bibliografia polska. Bartoszewicz K. *Uwagi* nad protokółem obrad sądu konkursowego nad modelami do pomnika A. Mickiewicza. Kraków.

— Buszek J. dr. *Sprawozdanie fizykatu m. Krakowa* za rok 1883. Kraków.

— Bykowski P. J. *Ostatni sejmik województwa bracławskiego.* Warszawa.

— Chodyński A. *Kieszonkowa kronicska* historyczna m. Kalisza. Kalisz.

— Czerwiński J. *Śpiew historyczny o Piotrkowie* trybunalskim. Odessa.

— Demetrykiewicz W. dr. *Opieka prawna w Austryi dla zabytków sztuki* i pomników historycznych, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków galicyjskich. Kraków.

— Dupont F. *Pamiętniki do historyi życia i czynów Jana III* Sobieskiego, króla polskiego, wydał J. Janicki (Bibl. ordynacyi Krasińskich i Muzeum K. Świdzińskiego Tom VIII). Warszawa.

— Estreicher K. *Bibliografia* Tom X zesz. 3 i 4 Kraków, Ak. umiej.

— Garlicki T. *Uwagi nad Seb. Fab. Klonowicza poematem Victoria deorum.* Brzeżany.

— Giller Ag. *O życiu i pracach F. H. Duchińskiego.* Lwów.

— Groblewski M. *Grajek z gór,* obr. dram. w 4 ak., Sanok.

— Gwiaździc. *O wzajemnych obowiązkach panów i sług,* Płock.

— Karłowski W. *Z przygód tułacza.* Chicago.

— Kowalski T. dr. *Uprawa szczegółowa roślin,* część I. Warszawa.

— Krasiński A. S. ks. biskup. *Słownik synonimów polskich* tom II, wyd. Ak. umiej., Kraków.

— Krzywda K. *Polacy wobec dążności kompromisowych.* Kraków.

— Lam Jan. *Dzieła* t. II (*Idealiści*), Lwów.

— *Lutnia polska,* zesz. 5—8. Poznań.

— Łuszczkiewicz W. *Wykład popularny perspektywy* dla malarzy i rysowników, 2 części, Kraków.

— Mickiewicz A. *Korespondencya,* tom IV, wyd. 4. Paryż.

— Niemcewicz J. U. *Dzieła* tom IV (Lejbe i Siora; Bajki oryginalne), Kraków.

— Oettinger J. dr. prof. *Maciej Józef Brodowicz,* rys biograficzno-historyczny, Kraków.

— Ossowski G. *Jaskinie okolic Ojcowa* pod względem paleontologicznym (Ak. umiej.), Kraków.

— Polkowski ks. J. *Sprawozdanie* o drugim dziale ksiąg archiwum kapituły katedralnej krakowskiej, Ak. umiej., Kraków.

— Rodoć M. *Satyry obyczajowe* II, Lwów.

— *Rośliny* najważniejsze lekarskie i jadowite środkowej Europy, zestawione systematycznie dla szkół średnich i ludowych (chromolitogr.), Lwów.

— *Rozprawy i sprawozdania* z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego akademii umiej. tom XVIII, Kraków.

Kornel Ujejski przerwał długoletnie milczenie. Ma on zamiar wydać cały cykl (12) poematów, osnutych na tle ludowem. Przygrywka p. t. *Ptasie gniazdo* pojawiła się już pod pseudonimem w *Niedzieli.* Nadto są już ukończone 2 poematy, obejmujące przeszło 2500 wierszy. Pierwszy z nich p. t. *Grzela* osnuty na tle wypadków z r. 1846, w następnych mają być dzieje tegoż Grzeli po r. 1860.

Opłatę za pozwolenie noszenia orderów obcych zaprowadzono we Francyi: 100, 150, 200 i 300 franków. Wstęg, które mogą być podobne do legii honorowej, nie można bezwarunkowo nosić bez właściwej dekoracyi.

Licytacya spuścizny Makarta przyniosła 156,900 złr.; przed licytacyą nabył cesarz austr. kilka obrazów za cenę 29 tys. złr. i pozostały jeszcze niesprzedane przedmioty oszacowane na 20,000 złr. Cały spadek artystyczny więc przedstawia pokaźną sumkę 206,000 złr.

Katalog biblioteki Raczyńskich niebawem ukaże się z druku. Pracą tą, niezmiernie zmudną, mającą objąć trzy tomy, liczące po 40 arkuszy, zajmowali się pp. Edward Sosnowski i Ludwik Kurtzmann, i już ją doprowadzili do końca. Pierwszy tom obok właściwego katalogu zawiera także portret założyciela biblioteki Edwarda hr. Raczyńskiego, tudzież jego życiorys pióra p. Sosnowskiego i szkic dziejowy, poświęcony bibliotece, pióra p. Kurtzmanna.

Zmarli. Dr. Ludwik Górecki b. docent uniwersytetu kijowskiego.

— Andre Gill znakomity rysownik francuski.

— Chojnacki, malarz, w Odessie.

— Michalski Lucyan, b. oficer b. wojsk polskich i współpracownik *Kuryera wileńskiego*, w Mohylowie podolskim.

— Wilhelm Kaalund, jeden z najwybitniejszych liryków współczesnych duńskich, w Kopenhadze.

Biedny uczeń jednego z gimnazyów, zbyt długo łudzony nadzieją otrzymania zapomogi w pewnej redakcyi, prosi za naszem pośrednictwem ludzi miłosiernych o zapłacenie za niego wpisu. Fundusze u nas złożone już wyczerpały się; zmuszeni przeto jesteśmy odezwać się do ofiarności publicznej.

OFIARY.

Na powodzian. Zaleski Michał ze Starosielec rs. 50, Ryzycki A. rs. 1, Ryżycki G. rs. 1, Szpakowski M. kop. 50, Szagen J. rs. 1, Wyszyński S. rs. 1, Godziemba A. rs. 1, Prusinowski J. rs. 1, Jezierski M. rs. 1, Kunicki W. rs. 1, Hurkowski S. rs. 3, Mianowski L. rs. 3, Trull O. rs. 4, Moczalski J. rs. 5, Teplaków rs. 1 kop. 77, Staszewski K. rs. 10, N. N. kop. 73—z Żytomierza za pośrednictwem p. Piotra Sochackiego.

(Składki te według naszego przekonania są już dziś zbyteczne i bezcelowe, gdyż ich potrzeba oddawna ustała. Zwracając na to uwagę szan. ofiarodawców, radzimy im przeznaczyć te pieniądze na wsparcie innego, rzeczywistego ubóstwa. *Red.*).

Na wpis dla uczniów. Karol Apel rs. 1.

Na kasy rzemieślnicze. Sochacki z Żytomierza rs. 1 kop. 50.

Ogłoszenia.

FOTOGRAFIA
MIECZKOWSKIEGO
w WARSZAWIE

nie dawszy się wyprzedzić nikomu, istnieje bez przerwy przy ulicy **MIODOWEJ** i dyrygowaną jest osobiście przez tegoż.

Specyalnością jej jest robienie wszystkich fotografij „nowym sposobem,“ który niesłychanie skraca pozy i nadaje odbitkom piękny wymodelowany efekt, przy zachowaniu najdelikatniejszych półcieni i świateł.

Świeżo, pomimo silnej konkurencyi, zaszczytnie wykonane liczne prace w czasie Koronacyi w Moskwie i ze zjazdu **Trzech Monarchów w Skierniewicach** najwymowniej świadczą o rozporządzalnych środkach i pewności siebie nabytej długoletniem doświadczeniem, a stwierdzonej na wszystkich wystawach pierwszemi nagrodami, bez posiłkowania się kiedykolwiek niczyjem kierownictwem.

PS. Dla wszystkich Zakładów Naukowych, tak dla nauczycieli, jakoteż i uczących się ceny są o 40% zniżone.

---

5 godz. od Warszawy 1 g. od Lublina, 4 wiorsty od stacyi Nałęczów drogi Nadwiślańskiej

NAŁĘCZÓW

Apteka, telegraf, poczta, omnibusy i powozy na stacyi, na pociągi pocztowe.

Zdrojowisko żelaziste — kąpiele błotne,
Sezon letni od 1-go Maja

ZAKŁAD PRZYRODOLECZNICZY DLA CHORYCH CHRONICZNYCH
Cały rok otwarty.

Miejscowość zdrowa i malownicza, wykwintne salony do zabaw i przyjęcia gości, 150 pokoi mieszkalnych wygodnie urządzonych i umeblowanych dla internów, liczne wille prywatne wokoło zakładu. **Stołowanie dyetetyczne** pod nadzorem lekarzy. Środki lecznicze: 1) **Źródła żelaziste** (szczawa żelazista) **do picia** oraz **kąpieli**, w łazienkach specyalnie urządzonych i ogrzewanych podług wypróbowanych metod. 2) **Kąpiele borowinowe Nałęczowskie**, z borowiny żelazistej (Eisenmoor). 3) **Instytut wodoleczniczy**, hydropatyczny) specyalnie urządzony (urządzenia do kuracyi w mieszkaniu chorych). 4) **Kąpiele igliwiowe** (z igliwia miejscowego jakoteż Krynickiego i Reichenhalskiego) oraz parowe i wszelkie mineralne sztuczne. 5) Wszelkie **wody mineralne** naturalne i sztuczne. 6) **Kumys** (kobyli) **kefir, mleko i serwatka**. 7) **Gimnastyka lecznicza, massage, elektryczność.**

W Nałęczowie leczą się pomyślnie wszelkie choroby przewlekłe. głównie zaś **cierpienia nerwowe, żołądkowe** i **nieżyty dróg oddechowych, choroby kobiece, wycieńczenia. niedokrwistość, bladaczka** itd.

Kuracyę prowadzą: **Dyrektor i stały lekarz Zakładu, Dr. Aleksander Fabian.**
Konsultant Zakładu, Dr. Alfred Sokołowski (specyalnie w chorobach piersiowych i gardlanych); **Dr. Anna Tomaszewicz-Dobrska** (w chorobach właściwych kobietom).

Cena całodziennego utrzymania z leczeniem od 3 rubli dziennie — dzieci płacą połowę.
Ceny za kuracyę do 1-go Czerwca i po 1-go Października **zniżone.**

Bliższych objaśnień udziela na miejscu **ADMINISTRACYA ZAKŁADU.**
W Warszawie, apteki WW. Barcza, Heinricha i Bogusławskiego. 4—6

SPÓŁKA NAKŁADOWA.
poleca następujące wydawnictwa swoje:

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światełko. książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzów polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekscie rs. 1 kop. 80

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorze **Spółki (Zielna 7-A)** kosztów przesyłki nie ponoszą.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Wydawnictwo Imienia T. T. Jeża

Tom III

Ribot: Dziedziczność psychologiczna
opuścił prasę.

Cena rs. 1 kop. 80.

Nakładem Prawdy
wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena rs. 1. (wraz z przesyłką pocztową).

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Мая 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.